

MIROSŁAW AZEMBSKI

DEKOLONIZACJA UMYSŁÓW



Wczorami Konakri nie gwarantuje zbyt wielkiego wyboru rozrywek, chodzi się więc do kina. Co najmniej trzydzieści razy w czasie pobytu byłem w kinie i co najmniej trzydzieści razy stałem na baczność, słuchając hymnu państwowego Republiki Gwinei, który odzwierciedla jest z płyty przed każdym spektaklem. Są tylko dwa eleganckie kina w Konakri, bilety wstępu kosztują dość drogo i w związku z tym widuje się na sali wciąż ten sam garnitur ludzi — a więc Europejczyków z różnych placówek i urzędów oraz Gwinejczyków, prawdopodobnie reprezentantów najzamożniejszej grupy. Jeśli idzie o tych ostatnich, to twarze ich znałem już na pamięć; zadziwiała mnie zawsze wzruszenie malujące się na obliczach ludzi, którzy słuchali swojego hymnu po raz setny z kolei, a może tysięczny. Przeżywali go wciąż na nowo, było to widoczne. Cała Gwinea przeżywa głęboko swoją niepodległość, a zewnętrzne symbole wolności i suwerenności stają się przedmiotami uwielbienia i kultu: hymn, skomponowany niedawno przez znanego nam Fodeba Keita, flagi narodowe, wytwarzane najczęściej z plastiku (odporne na tropikalną wilgoć), portrety przywódców, które malowane są nawet na seryjnie produkowanych papierosnicach...

Specjalny rozdział w tym zjawisku stanowią narodowe święta, uroczystości połączone

często z defiladami. Te defilady zwłaszcza Obserwowałem kiedyś pochód zorganizowany z okazji objęcia prezydentury przez Sekou Touré; całe miasto wyległo na ulice, aby oglądać prezydenta, który w otwartym aucie i w otoczeniu oddziału ubranych na białe, motocyklistek, przejeżdżał przed frontem żołnierzy, harcerzy, sportowców, dziewcząt w strojach regionalnych etc. etc. Wiwatów nie było końca. Zbiórka radości osiągnęła szczyt, gdy do portu zawinął jacht dostojnego gościa, prezydenta Liberii Tubmana, który swoją obecnością podnosił rangę obchodów. Jacht był w pełnej gali flagowej, a wpływając do zatoki huknął salwami armatnimi z obu brzoś, tak jak to czynił niegdyś okręt legendarnego kapitana Błonda. I jeśli strzały wytworzyły hałas potężny, to jeszcze chyba głośniejsze były oklaski i okrzyki ludzkiego morza, oblepiającego nabrzeża, dźwięki portowe, dachy domów, każda gałąź pobliskich drzew. W ślad za jachtem Tubmana wchodziły do portu dwa kutry polskie, przybywające z Polski, aby rozpocząć tu połowy ryb. Szybrowie, aczkolwiek zgola nieświadomi rzeczy, w młg spozrzegli

Dokończenie
na str.

4



BOGUSŁAW HOLUB

PRZEKŁĘTE REWIRY

Nie podaję autentycznych nazwisk. Nikogo tym nie uszczęśliwię. Drożki, którymi chodziłem za moimi bohaterami są kręte i śliskie. Prowadzą do więzienia, szpitala, lub na cmentarz. Z nożem w brzuchu nie pisze się reportażu. Z wielką uwagą nie chciałbym, aby ten był moim ostatnim reportażem. Wszedłem w rejonu spraw ludzkich, którymi brzydzą się stateczni mieszkańcy, dyskretnie przemilczają socjolodzy, a moralści zalamują co najwyżej ręce.

Jeden, jedyny człowiek, nie z własnej zresztą woli MUSI tu zachodzić. On jeden jest stałym łącznikiem pomiędzy ludźmi z rozstajnych dróg i normalnie żyjącą społecznością. Przeklinany przez jednych błogosławiony przez innych — dzielnicowy MO. Poznałem go przypadkowo, sprawdzałem u niego dane pewnej sprawy. Zdziwił mnie swoją prostotą, zmysłem obserwacji i trafnymi sądami o bliźnich. Zaproponował mi obchód po swoim rewirze.

MILICJANT I ARMIA ZBAWIENIA

Zalewski leżał na niskiej pryczy. Otworzył oczy i spojrzał na nas bez zdziwienia.

— I znowu leżysz jak borsuk w legowisku — powiedział sierżant.

Odwrocił się do ściany.

— Kto to widział, Zalewski, odwracać się zadem do przyjaciół?

Podniósł się z postania i stanął przy oknie. Gimnastyczna koszulka pofalowała jak pralka wisiała na wy-

pukłym brzuchu. Rozluźnione spodnie opadły mu do kolan.

— I co tak stoisz? Nawet gaci nie masz na tyłku!

— Mnie nie dają gaci państwowych — odburknął mężczyzna.

— Podciągnij portki, nie jesteś na przegładzie u kosażowego lekarza.

Otarł leniwym ruchem ręki obrzmiałą twarz, drugą podciągnął spodnie.

— Pokaż zaświadczenie, że jeszcze pracujesz.

Zalewski wygrzebał z kieszeni jakąś kartkę.

— No widzisz, przeszła ci choroba. Mówiłem zawsze, że ja z ciebie zrobię człowieka. A teraz weź się do uprzątnięcia mieszkanka. Przyjdę za pół godziny.

Na ulicy mijali nas ludzie śpieszący w sobie tylko wiadomym kierunku. Kilku dwunastolatków idąc naprzeciw nam ostentacyjnie kopciło papierosy.

— Zalewski to przecież bardzo młody chłopak.

— Leń cholerny, pijak i awanturnik. Widział pan, nawet zamka w drzwiach nie ma. Przepił. Chodzę tu już z pół roku. Zawsze zastaje go w barłogu. Wylazi dopiero wieczorem na ulicę, do kumpli. Lapali gdzieś pijanego „jelenia” i na jego konto pili.

— Psie życie.

— Zonę wysyłał co dzień do Opieki na ul. Zieloną po zapomogę...

— To on żonaty?

— Jasne. I dzieciaty. Jedno dziecko zamorzyli, drugie żyje. Najgorsze to te babki z opieki. Chciałem na nie już raport pisać. Dawaly mu nawet po 500 zł zapomogi na mandaty za burdy uliczne.

Mówił im, że chory na gruźlicę i serce. Przychodzili do niego do domu. Zastawiali go tak jak i ja w... łóżku. — Chory, biedny — litowały się nad tym bykiem. Patrzyłem jakiś czas na to przez palce, ale gdy przyszły kupić mu garnki, rondelki i koszule nie wytrzymałem. Przegnałem tę armię zbawienia. Jak przez tydzień nie dostał grosza, od razu poszedł do roboty. I widzi pan — teraz jest zdrowy.

— Dobry wieczór, panie dzielnicowy — pozdrowiła sierżanta kobieta zamykająca ulicę. — Niech pan powie Nowakowej spod dwudziestego trzeciego, żeby ulicę zamykała. Wiatr nosi od niej wszystkie śmiecie przed mój dom.

— Chyba jej trzeba będzie mandat wlepić.

— Tak by było najlepiej — zgodziła się.

— A ta blondyna z drugiego piętra już się uspokoiła?

Dalszy ciąg
na str. 6

HENRYK DINTER

ŚLEDŹ



KAPELUSZ...

Ponieważ artykuł pt. „Dziwna sprawa” wywołał duże zainteresowanie, rozpoczynamy dyskusję. Publikowane wypowiedzi nie zawsze będą się pokrywały z naszym stanowiskiem. Drukujemy je na zasadzie wolnej trybuny. Zapraszamy do dyskusji.

RED.

W związku z artykułem Ewy Ostrowskiej pt. „Dziwna sprawa” („Odgłosy” nr 48) usłyszałem taki żart:

— podobno śledź i kapelusz są teraz najlepszymi środkami wychowawczymi i wszyscy nauczyciele mają być w te środki zaopatrzeni. Spojrzałem pytająco — kpi facet, czy o drogie pyta? — facet ciągnie dalej:

— Śledź ucznia i nakrywaj, zlikwidujesz chuligaństwo.

Czytaj — podał mi artykuł Ostrowskiej.

Przeczytałem. I rzeczywiście trudno o lapidarniejszą ocenę ujawnionych w tym artykule praktyk wychowawczych. Do tego śledzia i kapelusza dodałbym jeszcze szarą gęś, aby w tej samej konwencji ocenić mądrość i szarogęsienie się rady pedagogicznej opisywanego liceum.

Czy jednak obraz, który podaje Ostrowska, można skwitować jedynie żartem? Nie jest ważne, czy opisywany wypadek zdarzył się, czy nie, chodzi przecież nie o szczegóły, ale o sprawę.

Sprawa zaś jest poważna i dlatego wymaga szerszego omówienia. Takie bowiem praktyki wychowawcze, deprawujące i tak już trudną młodzież, a tym samym pla-

Dokończenie na str. 2

ROZMOWA

ODGŁOSÓW Z:

prof. dr. Stanisławem Cwynarem

kier. Katedry Psychiatrii A.M. i Zakładów Psychiatrycznych A.M. i W.A.M. prorektorem do spraw dydaktyki A.M. w Łodzi

O:

- wynaturzeniach cywilizacji
- ludziach opętanych przez diabła
- pupilkach Hipokratesa
- polskim Roku Zdrowia Psychicznego

— Panie profesorze! Mam potworną treść z powodu tego wywiadu. Bo właściwie tak niewiele wiem o sprawach, o których mam z panem rozmawiać...

— Całe społeczeństwo wie o psychiatrii bardzo mało, i nie przesadzę, jeśli powiem, że poglądy, które wciąż jeszcze nurtują ludzi, więcej mają wspólnego z mrokami średniowiecza niż z współczesną nauką. Ta wciąż jeszcze pokutująca — metafizyczna ocena cierpienia jest przyczyną nie dających się wyrazić szkód społecznych spowodowanych pogardliwym stosunkiem do ludzi wykazujących zaburzenia psychiczne.

— Zwłaszcza na wsł. człowiek chory psychicznie jest obiektem drwin i lekceważenia...

— Nie tylko na wsł. Nawet w tak wielkim mieście jak Łódź, my psychiatrzy, niejednokrotnie musimy toczyć istne boje z ludzką ciemnotą, nietolerancją, fałszywymi poglądami na sprawy chorób psychicznych i ich leczenia. Często też nie

kulturalni sąsiedzi, koledzy z zakładu pracy, czy krewni, obracają w niwecz wielomiesięczny wysiłek lekarza-psychiatry i niewłaściwym stosunkiem do rekonwalescenta, powracającego z zakładu psychiatrycznego, powodują groźny nawrót choroby.

— Czy można mówić o nasileniu chorób psychicznych w epoce rozwijającej się cywilizacji?

— Niewątpliwie cywilizacja dając tyle udogodnień technicznych i kulturalnych narzuca wyższe wymagania w stosunku do układu nerwowego człowieka. Rzecz w tym, aby te wymagania uwzględnić.

— Jakże są najpospolitsze źródła zaburzeń psychicznych?

— Czasem zwykły „pech” życiowy może być przyczyną choroby psychicznej, zwłaszcza, gdy trafia na człowieka o słabszym systemie nerwowym. Po serii coraz to nasilających się niepowodzeń człowiek taki może dojść do psychonerwicy lub

psychozy reaktywnej.

— Jaki jest związek między systemem nerwowym a psychiką człowieka? I czy to prawda, że istnieją predestynacje organiczne do chorób psychicznych?

— Już Hipokrates — wielki filizof i medyk epoki starożytnej rozróżniał kilka typów ludzi: sangwiników, choleryków, flegmatyków i melancholików. Spośród nich najbardziej podatnym na choroby psychiczne jest melancholik, który według Pawłowa stanowi typ najbardziej słaby psychicznie i fizycznie oraz choleryk. Natomiast typy sangwinika i flegmatyka wykazują dużą odporność na zaburzenia psychiczne. Proszę tylko tego, co powiedziałem, nie rozumieć jako reguły. Nawet człowiek o bardzo słabym systemie nerwowym i genetycznych dyspozycjach do chorób psychicznych może ich uniknąć, jeżeli nie spotka się z przyczynami wywołującymi te zaburzenia. Nie ma też dziś takiej cho-



Prof. dr. Stanisław Cwynar

roby psychicznej, której nie dalaoby się wyleczyć pod warunkiem odpowiednio wczesnego wykrycia choroby i zastosowania odpowiednich metod leczenia.

— A obłęd pijacki? Zaczyna się niepostrzeżenie, a kiedy staje się rozpoznawalny dla otoczenia najczęściej jest już za późno...

Obłęd pijacki, czyli paranoja alkoholowa wyraża się napadami zazdrości. Zwykle poprzedzona jest omamami słuchowymi. Choremu wydaje się, że dowiaduje się o faktach w gruncie rzeczy

nieistniejących, gdyż słyszy „głosy” sąsiadów, kolegów, przestrzegających go przed zdradą żony, czy ukochanej...

— Nie każda jednak chęć zazdrości jest o podłożu paranoicznym?

— W zdrowej zazdrości działa argument logiczny. Jeżeli zaś chodzi o leczenie... Wymaga ono dużo dobrej woli pacjenta, a także, jak i przy każdej chorobie psychicznej — zrozumienia ze strony otoczenia.

Pytała pani o przyczyny powstawania chorób psychicznych. Są one różnego typu. Podłożem mogą być zaburzenia przemiany materii, uszkodzenia układu nerwowego, czasem są przyczyny pochodzenia wewnętrznego, jak np. w schizofrenii. Najczęstszą jednak ich postacią są tzw. psychonerwice, czyli coś pośredniego między schorzeniami psychicznymi a psychicznymi reakcjami fizjologicznymi. Psychonerwice są zaburzeniami czynnościowymi na tle przeciążenia układu nerwowego.

— O ile się orientuje to na pogłębienie się tych psychonerwicznych zaburzeń w olbrzymim stopniu oddziałują na stosunki między ludźmi.

— Tak. Dlatego rozwijający się światowy ruch higieny psychicznej przykłada tak wiele wagi do tego problemu. Również na Międzynarodowym Kongresie Zdrowia Psychicznego, w którym uczestniczyłem w sierpniu br. w Paryżu, obok zagadnień czysto naukowych wysunięto postulat energiczniejszego oddziaływania w kierunku polepszenia stosunków międzyludzkich, celowego zlagodzenia skutków cywilizacji takich, jak ustawiczny, narzucany przez warunki ekonomiczne pośpiech, nadmierny ruch na ulicach, zagęszczenie mieszkaniowe, nadmierna, intensyfikacja produkcji, dysproporcje między godzinami pracy a wypoczynku itp. Mówiono też wiele na temat zwykłej żyłowości ludzkiej, delikatności obyczajów i form postępowania. Ludzie nie zdają sobie najczęściej sprawy, że np. zły szef, nieżyczliwi towarzysze pracy, mogą stać się przyczyną po-

ważnych zaburzeń psychicznych u człowieka z mniejszą odpornością nerwową. We wszystkich sprawach celowej psychoprofilaktyki i skutecznej psychoterapii decydującą jednak rolę odgrywa warunki ekonomiczne.

— Jeżeli warunki ekonomiczne i te wszystkie czynniki, o których mówił pan profesor, tak silnie oddziałują na psychikę i system nerwowy ludzi dorosłych, to cóż dopiero mówić o organizmach młodych, o dzieciach i młodzieży...

— Ba, poruszyła pani kapitalny problem, jakim jest wpływ atmosfery domu rodzinnego i najbliższego otoczenia na równowagę psychiczną dzieci i młodzieży, na kształtowanie się ich nastawienia emocjonalnego. W tym miejscu należałoby też mówić o problemach wychowawczych, o systemach, w jakich rozwijają się młode organizmy ludzkie. Np. problem autorytetu, to nie tylko sprawa polityki, to także zagadnienie nauki. Młodzieży potrzebne są autorytety dla prawidłowego rozwoju psychicznego, autorytety starszego pokolenia, rodziców, nauczycieli...

— Czy nie uważa pan profesor, że popełnione w przeszłości błędy są jedną z przyczyn pogłębiającego się konfliktu pokoleń?

— Konflikt pokoleń jest stary jak świat i nie w nim leży przyczyna zanierkojenia, jakie odczuwamy między młodymi, a jej rozwój psychiczny, lecz we wszystkich czynnikach wpływających na stany emocjonalne i psychonerwice, o których wspomnieliśmy poprzednio. Stąd wskazania dla pedagogów, psychologów, a przede wszystkim dla ekonomistów, gdyż nieodpowiednie warunki ekonomiczne rodzą nieprawidłowości i w innych dziedzinach życia.

— W jakich warunkach idą badania naukowe łódzkiego ośrodka psychiatrycznego?

— Obok działalności usługowej (120 łóżek w Szpitalu Psychiatrycznym w Kochanówce) prowadzimy badania biochemiczne płynów ustrojowych u psychicznie cho-

rych, aby wyszukać zmiany, które by wyjaśniały przyczyny danej choroby psychicznej. Drugi temat, to badanie skutków patologicznych porodów i ich wpływu na psychikę dziecka, trzeci wreszcie — to zaburzenia psychiczne przy zaczynających się guzach mózgu. Prowadzimy też intensywną działalność w związku z trwającym obecnie Rokiem Zdrowia Psychicznego, wspólnie z Instytutem Medycyny Pracy, Towarzystwem Wiedzy Powszechnej i Poradniami Zdrowia Psychicznego.

— Problematyka istotnie bardzo szeroka. Jak z nią sobie dają radę szczupłe liczebnie kadry naszych psychiatrów?

— Biorąc pod uwagę, że w Polsce na jednego lekarza psychiatrę przypada 200 chorych, sytuacja również i w Łodzi nie przedstawia się dobrze. Trzeba jednak podkreślić, że na cele zdrowia psychicznego państwo nie szczędzi środków, że dzięki nim również i w Łodzi w najbliższych latach otrzymamy nowoczesną Klinikę Psychiatryczną na terenie przyszłego miasteczka zdrowia u wylotu ul. Narutowicza, że rosną możliwości kształcenia kadr lekarskich w akademickich medycznych ośrodkach kraju, a wśród młodych lekarzy rośnie zainteresowanie psychiatrią.

— Czy to prawda, że każdy człowiek może być potencjalnie pacjentem lekarza-psychiatry? Ze u najbardziej nawet przeciętnego człowieka, uważanego potocznie za „przy zdrowych zmysłach” można doszukać się objawów zaburzeń psychicznych?

— Mówiliśmy już o tym przy okazji typów ludzkich. Skala odporności psychicznej indywidualnej jest szeroka, ale teoretycznie biorąc każdy człowiek w wyjątkowo trudnej sytuacji może się załamać. Na szczęście metody leczenia są coraz skuteczniejsze, jeżeli tylko chore psychicznie dość wcześnie znajdą się pod fachową opieką.

Rozmawiała:

K. WYRZYKOWSKA

ŚLEDŹ i KAPELUSZ...

Dalszy ciąg ze str. 1

mia — z całą świadomością używam tego określenia — plamą, która imię nauczycielstwa polskiego.

Aż dziw bierze, że we współczesnej szkole, świeckiej i demokratycznej, wychowującej obywateli socjalistycznego społeczeństwa pokutują jeszcze metody wychowawcze wyciągnięte z lamusów szkół jezuickich i carskich, szkół rusyfikatorskich, oparte o deklatorstwo, śledzenie kroków ucznia, podstępne wydobywanie opinii pod gwarancją tajemnicy itp. Jeśli nauczycielowi stosującemu takie metody brak kultury wychowawczego oddziaływania to i tak takich metod powinien znieść przynajmniej z lektury „Szyfrowych prac” Zeromskiego.

Może ktoś powie, że sławki niewspółmierne, bo Zeromski ośmieszał tę metodę, gdy szło o śledzenie przejawów życia narodowego, a tu idzie jedynie o wykrycie źródeł deprawacji. Pochwała takich metod wychowawczych, choćby i dla wykrycia deprawacji byłaby jednocześnie akceptacją dawno już zdemaskowanej,

niemoralnej i szkodliwej, starej jezuickiej zasady „cel uświęca środki”. Falszywe metody pozwalają nieraz osiągnąć doraźne cele, lecz jednocześnie odciskają się złem, które wcześniej czy później wyjdzie na wierzch.

Rozmawiałem kiedyś z wychowankiem zakładu opiekuńczego, który w więzieniu oczekiwał na rozprawę. Trzydziestokilkuletni człowiek napatrywał powodów swego wycołania również i w praktykach wychowawczych, jakie wobec niego stosowano. Jako chłopiec był lekkomyślny, lubił kolegom swoim płać różne figle. Pewnego razu, miał wówczas 12 lat, namówił młodszego kolega, aby podniósł z ziemi rozgrzaną w ogniu sztabkę żelaza. Oczywiście, ów młodszy kolega sparzył się i narobił krzyku. Niefortunny dowcipniś sam natychmiast spostrzegł niewłaściwość żartu i żałował swego czynu. Zamierzał czymś wynagrodzić malca, było jednak za późno. Jego krzyk ściągł na wychowawczyntę, która postanowiła w sposób „wychowawczy” sprawę zlikwidować. Poleciała jednemu z przyglądających się chłopców rozpaść w ogniu tę samą sztabkę i przyłożyć winowajcy do gołego ramienia. Kiedy żelazo wypaliło ciało, wychowawczyni pewna swojej metody skandowała: „Będziesz pamiętał: nie rób nikomu tego, co tobie nie miło”.

Oglądałem to bliźnię, ładna bestia, na całe życie pozostanie. W ten sposób ukarany czło-

wiek powiedział mi jeszcze: „Od tego czasu przestałem być lekkomyślny. Robiłem już wszystko skrycie i z rozmysłem. Umyslnie wybiłam szyby w zakładzie, zniszczyłem fortepian, darłem i psułem wszystko, co tylko wpadło mi w oczy, a posiadało poważniejszą wartość. Złapał mnie dopiero wtedy, gdy podkładałem kamień pod tramwaj, aby go wykołosił. Trafiliem do poprawczaka. Biłem się często z chłopakami, gdy się biłem to ogarniało mnie jedno tylko pragnienie, rozderżyć przeciwnika. Rozkrwawiałem i kaleczyłem. Trafiliem do więzienia, potem drugi i trzeci raz. Moje życie stało się takie od czasu tej głupiej sztabki żelaza”.

Zywo stanęła mi ta rozmowa w pamięci, gdy przeczytałem, że nauczycielka w opisywanym przypadku nazwała uczennicę prostytutką. Słowo — wyzwiście też może mocno palić i może pozostać w duszy uraz — bliźnię na całe życie.

Złym wychowawcom zawsze wydaje się, że człowieka można wytrzesować. Zresztą i tresowanie pojmują oni najczęściej po prostaku. Sądzą, że z młodym człowiekiem można postępować jak np. z kotem. Nabrudziłeś w nieodpowiednim miejscu — sam to złizniesz. Kot najczęściej nie brudzi już w tym miejscu, ale w mrocznych i niewidzialnych kątach.

Represji, dziś nie chwytają i chwycić nie mogą. W dawnej szkole mogły coś zna-

czyć, gdyż zgola inna była sytuacja. Szkoła, zwłaszcza średnia miała miejsce głównie dla ucznia zamożnego, dobrze upiętego w uniform, pilności, układości i przepisanej powagi. Odziewać i upinać uniform musiało środowisko rodzinne, które wiedziało, że za sprawą ukończenia szkoły winno się osiągnąć przez dziecko przyszłej elitarnej pozycji życiowej. W tych warunkach może i skutkowało dawanie po łapach za niedopilec uniformu. Skutkowało tak dalece, że niezależnie od tego co działo się w sferach ówczesnych uczniów i bez względu na to, jakie sfera przedstawiał wartości, starali się nosić uniform pod okiem nauczycieli w sposób nienaganny. Czy i dziś o taką nienaganną chodzą? Odpowiemy z oburzeniem, nie podobnego, a jednak stare metody wychowawcze pokutują. Gdyby nasze władze szkolne obliczyły, w ilu przypadkach podtrzymano załamujących się uczniów i w ilu — uratowano przed wykołosem, to prawdopodobnie w poszczególnych szkołach wyniki pod tym względem byłyby pokaźne. To dobrze, ale liczba pchniętych przez niepowodzenia szkolne ku załamaniu się nie byłaby dużo mniejsza, niż wyratowanych.

Sąd dla nieletnich, militeja obywatelska i odpowiednie poradnie niewątpliwie dysponują materiałem, świadczącym, że niekiedy sami popychają ucznia ku załamaniu i w konsekwencji ku wykołoseniu. Dzieje się tak dlatego, że drażnią nas i oburzają. W zakłamaniu, zapominając o własnej młodości, zbyt ostro reagujemy na potknięcia dziełszej młodzieży, które w

swym czasie i nas obciążały; a reagujemy chyba tylko dlatego, że w tym pokoleniu niektóre zjawiska występują jawniej. Niepedagogicznie byłoby przytaczać przykłady tego, co działo się w naszych czasach, opisywać obyczaje środowiska uczniowskiego, życie młodzieży, które najczęściej było zakryte przed okiem szkoły i rodziców. Czyż pamiętniki Zeromskiego, albo autobiograficzne Dzieje Mikołaja Srebrnospianego-Zegadłowicza nie zawierają materiałów, które powinny wywołać tak zwane „święte oburzenie”?

Słyszałem o takim wypadku: w pewnej szkole nauczyciele włożyli dużo pracy w walkę z rozwichrzonymi uczniami, endulacją, lakierowanymi paznokciami itp. Wcale tych wysiłków nie lekceważę, i one są konieczne. Ale na tym się kończyło. Ołóż jednego razu zaslaby uczeń podczas lekcji. Okazało się, że prawdopodobnie nie spał całą noc i co gorsza — zagładał do kieliszka. Ucznia w pierwszej chwili usunęli. Nikt nie spytał — kto mu dał alkohol? A przecież w domu urządzono imieniny, starsi bawili się po polsku, do białego rana. Winne jest dziecko i koniec. Dla mnie jest to typowy przykład działania represyjnego, a nie wychowawczego. Szczegółem, rozszedkując zwyciężył, górę wziął taktyk pedagogiczny, uczeń chodził do szkoły. Chłopiec „just”, oczywiście, zdawał sobie sprawę z tego, że uczynił źle, na kogo jednak ma spaść kara, wyznaczająca odpowiedzialność? W iluż to wypadkach uczniowie, choć z pewnością także winni, są wypadkową szeregu czynników, jak dom, a nawet at-

mosfera w szkole. Powinniśmy dyskuutować nad sposobami karania i wychowania wszystkich winnych. Jeśli szkoła jest bezradna, to znaczy, że i władze są bezradne? Przecież można spowodować, żeby oświadczenie szkoły, stwierdzone przez kuratorium, przesłane do miejsca pracy rodziców, pociągnęło za sobą określone sankcje. Dlaczego mówimy w nieskończoność o wielości czynników w układzie wychowawczym, a jak co do czego przychodzi — karzemy tylko dziecko?

Pomagajmy młodzieży w ustalaniu jej równowagi psychicznej rozsądną radą, życzliwym stosunkiem i zaufaniem. Tak właśnie stało się w opisywanym wyżej wypadku, chociaż z początku zanosiło się na zwykłą represję. Czy nasze szkoły średnie dobrze spełniają swoje zadania wychowawcze? Zdawkowe, ogólnikowe, pasujące do każdego zespołu młodzieży i do każdego czasu, z roku na rok niemal jednakowo — plany wychowawcze szkół nie zawsze są realizowane najlepiej. Czy nie należałoby się pokusić o wkroczenie na drogę tego, co można by nazwać działaniem terapijnym wychowania? Wymagaloby to zerwania z niektórymi starymi tradycjami np. zamiast prowadzenia, jak to ma miejsce w wielu szkołach, dziennika uwag — rejestrującego przewinienia ucznia, wprowadzenie notatek obserwacyjnych, umożliwiających opracowanie charakterystyki ucznia oraz wykreślenie jego profilu psychologicznego. Dysponując takim materiałem można będzie mówić o pomocy wychowawczej dla młodzieży.

HENRYK DINTER

str.

2

odgłosy

„NAFTA”

W swoim czasie Krzysztof Toeplitz pisał w związku z filmem Stanisława Lenartowicza „Spotkania” o „rehabilitacji reżysera”. Od tego momentu Lenartowicz zaprezentował dwa filmy — „Piłki dla Aurelii” i „Zobaczmy się w niedzielę”, obecnie wszedł na ekrany jego nowy film „Nafta” — wszystkie trzy o bardzo nierównym poziomie artystycznym, o bardzo zróżnicowanej problematyce.

„Interesują mnie sprawy zwykłego człowieka” — określił linię swoich poszukiwań Lenartowicz. O ile jednak w „Zobaczmy się w niedzielę” tylko proponował publiczności tematykę tych spraw, o tyle w „Naftcie” już świadomie do niej nawiązuje. „Nafta” przerywa zalew filmów okupacyjno-wojennych. Lenartowicz spełnia tu wysuwany przez siebie postulat tematyki obyczajowo-społecznej. Temat trudny i niewdzięczny, tym bardziej, że posiadający mocne korzenie nie tylko w neorealizmie włoskim, ale i w tradycji socrealistycznego produkcyjnika. Lenartowicz w „Naftcie” wyrzeka się filozoficznych refleksji, rezygnuje z eksperymentu estetycznego, wszelkiej symboliki i uogólnień na rzecz surowości i realiów.

Niewypunktowana jednak należy konstrukcja dramatyczna scenariusza rwie się raz po raz, pozostaje bez przyczynowego związku z całością zdarzeń. Powtarzające się ujęcia szybu wiertniczego sprawiają wrażenie, że posłużyły do łatania dziur w scenariuszu i skazują film na męczące dłużyzny. Nie pomaga ich efektywność i plastyka — w ogóle nasuwa się przypuszczenie, że Lenartowicz eksponując do nadrzędnej roli wizualności obrazu, zapomniał o akcji i ludziach, dla których obraz powinien być jedynie materialną ramą odniesienia a nie głównym wykładnikiem fabuły. Stąd fiasko z założenia reżysera: pozbawiona konsolidacji akcja denerwuje a plastyka obrazu traci zamierzoną siłę sugestii.

Ale w „Naftcie” są momenty, do których można zastosować określenie — zna komite. Sekwencja mszy nad brzegiem morza zawiera jakieś elementy tej statycznej drapieżności znanej z bergmanowskich filmów, świadczy o dużych i chyba nieprzypadkowych możliwościach twórczych reżysera. Doskonała i pełna napięcia jest jednak scena ratowania człowieka z wieży zagrożonej przez wytrysk ropy naftowej. Konflikt w „Naftcie” nie wykracza poza schemat codzienności. Doznania ludzi starał się przedstawić Lenartowicz w wymiarze szorstkiej autentyczności, w konkretnym wycinku czasowym, chciał przeprowadzić dokumentalną obserwację ludzi. Socjologiczny pejzaż stał konsekwentnie utrzymywany, lecz socjologiczny opis ludzi w nim występujących — zawodził. Zbyt skróty uproszczenia postaci powodują ich ahistoryczność i aspołeczność. Widzimy wiele osób przesuwających się na obrazie, ale nie o nich nie wiemy, jak by znaleźli się na zasadzie rekwiwytów. Nie wiadomą pozostaje nawet przyczyna wyobcowania głównego bohatera, Szymka, z jego rodzinnego środowiska.

Lenartowicz nie przeprowadził selekcji zdarzeń a przez to para bohaterów i środowiskowe grupy zatraciły swój autentyzm. Stąd główny wątek pozwala się zwulgaryzować: ich dwoje i on trzeci, zaś jego rozwiązanie traci o melodramatyczny kanon: happy end tych dwojga, ten trzeci odchodzi. Nawet przy dobrej woli niezrozumiała jest dla widza osobista, zawodowa i moralna klęska tego trzeciego — Bronka. Bronek w interpretacji Józefa Pary to najlepiej zagrana rola w „Naftcie”. Teresa Izewska i Tadeusz Janczar wydają mi się, nie sprostali zadaniu aktorskiemu. Natomiast plastyczna strona „Naftty” — zdjęcia Czesława Świrty — są chyba rewelacją i wydarzeniem artystycznym. W sumie jednak „Nafta” pozostanie tylko nieudaną próbą ujęcia rzeczywistości. Ale na pewno warta jest obejrzenia i dyskusji, choć o powtórnej rehabilitacji reżysera mówić jeszcze za wcześnie.



Filmy na ukończeniu

Janusz Morgenstern („Do widzenia do jutra”) realizuje w tej chwili w zespole „Kadr” film według sztuki Jurandota „Trzeci dzwonek”. Tytuł filmu — „Jutro premiera”. W rolach głównych grają: Kalina Jedrusik, Gustaw Holoubek, Włodzisław Głinski, Barbara Kraftówna, Wanda Luczycka, Aleksander Bardini, Edward Dziwowski i Wojciech Siemion.

„Mój stary” jest nowym filmem Janusza Nasfetera który realizuje go na podstawie scenariusza opartego o opowiadanie jego i Teresy Nasfeter. „Mój stary” będzie wydany w zbiorze opowiadań „Naszej Księgarni”. W filmie tym grać będą dzieci, lecz adresem będą nie tylko widzowie najmłodsi, ale także dorośli, którzy znajdą w filmie wiele swoich problemów. Podkreślić należy, że operatorem filmu będzie Jerzy Wójcik, autor zdjęć „Popiołu i damentu”, „Matki Joanny od Aniołów”, „Samsona”.

Stanisław Bareja, autor „Meza swojej żony” i Aleksander Seibor-Rylski scenarzysta i pisarz zakończyli wspólnie realizację zdjęć do filmu sensacyjnego „Dotknięcie nocy” osnutej na autentycznym wypadku, który zdarzył się w 1937 r. na szosie w woj. poznańskim koło Pleszewa. Film realizuje zespół „Rytm”.

A. N.

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

„KWIECIEŃ”

Problemy adaptacji filmowych dzieł literackich chyba będą tak długo roztrząsane przez krytyków, dających „różne dobre” rady filmowcom, jak długo będzie się adaptowało dzieła literackie. Złe się chyba dzieje, że skądinąd świetną powieść Józefa Hena „Kwiecień” i jej filmową adaptację reż. Lesiewicza tak nierozdzielnie się traktuje w dotychczasowych recenzjach. Lesiewicz podobnie jak Hen umie opowiadać i robi to przy pomocy języka filmowego o stylu bardzo płynnym i zrozumiałym. Płynna narracja dotyczy spraw codziennych, zwykłych, rozgrywających się tylko w wojennej scenarii. Lesiewicz podobnie jak Hen, który wspólnie z nim pisał scenariusz — jest realistą. Pragnie ukazać zwykłych ludzi z ich wszystkimi cechami w konkretnym działaniu na tle wydarzeń historyczno-politycznych i społecznych.

Filmowy „Kwiecień” stanowi dalszy krok naprzód w twórczości autora „Dezertera” i „Roku pierwszego”. Film jest skromny, prosty, bez barokowych ozdóbek. Frapuje widza świeżością spojrzenia na wojnę i na charakter ludzkie.

Niestety, zawiązanie konfliktu psychologicznego pomiędzy sarmackim, grubocioskim pułkownikiem Czaprąnem a realistą chorążym Szumiborem — jest niejasne. Konflikt na temat sensowności brawurowego wypadu na linie nieprzyjaciela został ukazany zbyt skrótowo, przez co robi wrażenie albo niedopowiedzianego lub wręcz czegoś marginesowego. Postać Szumibora jest płaska, nieprzekonywająca. Może Leszek Herdegen w swoim temperamentie aktorskim był zbyt mało ekspresywny w stosunku do sposobu gry i temperamentu Henryka Bakę jako putkownika Czaprana? Zamazanie konfliktu między dowódcą, a jego podwładnym pogłębia chyba tak że Piotr Pawłowski, który debiutuje jako kapitan Hyryn. Pawłowski nie poradził sobie z całym ciężarem roli naszkicowanej drobnymi kreślami przez autorów scenariusza. Jego intelektualizm jest miejscami zbyt rezonerki. Brzmi jak popis na temat li tylko umiejętności cytowania z pamięci fragmentów Szekspira. Rzecz oczywista, że na postaci Hyrynego skupia się cały film, po-

stać ta wiąże poszczególne wątki fabularne — wątek dezertera Ankiewicza, miłość Wandy, wreszcie próbę oceny postawy ludzi, ich działania przez wojskowego prokuratora. Debiut Pawłowskiego można więc nazwać udanym choć niedoskonałym, pod względem właściwej interpretacji roli, z której bardziej doświadczony filmowo aktor mógłby więcej wydobyć podtekstów i cech charakterologicznych dla swej postaci.

„Kwiecień” Lesiewicza z bardzo dobrymi zdjęciami operatora Czesława Świrty nazwałbym raczej filmem aktorskim ze słabo ukazanym konfliktem psychologicznym. O wiele więcej o tamtych czasach kwietnia 1945 roku mówią postacie epizodyczne, niż dwaj główni bohaterowie. Wzrusza nas i przekonuje historia Ankiewicza w świetnym wykonaniu Franciszka Pieczki. Jaska z perfumami „Parys” w interpretacji Jerzego Turka czy blazenada na przemian z mądrością kapitalnego Klukwy — Józefa Kondrata. Trzeba przyznać, że reżyser bardzo trafnie skompletował męski zespół aktorski, w którym „Jedynaczka” — Maria Ciesielska zagrała rolę sanitariuszki Roszkowskiej z kulturą i miłym wdziękiem.

Udany film Lesiewicza zdecydowanie góruje nad ostatnimi polskimi filmami przede wszystkim — realizmem, znakomitą warsztatem reżyserskim, dobrym aktorstwem, wszystkimi czynnikami, które potrafią zjednać widza dla sztuki filmowej.

MIESZANKA
FILMOWA

odtęsu str. 3



Pina Louise — debiutuje w filmie „SOHO”, realizowanym w Hollywood

DEKOLONIZACJA UMYSŁÓW

Dokończenie ze str. 1



się jednak, że dzień to niezwykły. I... również wywiesili flagową gałę. Nagrodzili ich brawa tak gromkie, jakimi zapewne rybak polski nigdy nie był i nie będzie witany...

Po cóż jednak mówić o świętach; w dzień powszedni na schodach pałacu prezydenckiego stoł wartą w bajechnie kolorowych mundurach i hełmach błyszczących, jak afrykańskie słońce. Każdej nocy pałac jasnije iluminacją, funkcjonującą bez przerw. Fontanny mijają się w blaskach różnorodnych reflektorów. Prezydent nie rusza się inaczej, jak w eskorcie samochodowej i motocyklowej świty; zmotoryzowany orszak pędzi z zawrotną szybkością przez miasto, dając znać o sobie przeraźliwym wyciem syren...

Francuzi, którzy dotąd nie wynieśli się jeszcze do swojego kraju, uśmiechają się ironicznie i mówią, że odżyli w dzisiejszej Gwinei dawne „naczelnikowskie” cięgoty do pompy i błyszczenia, że w nowych warunkach zamieniono tylko malowane tarcze i maski na lśniące samochody z syreną. Nie przyłączam się do tego zdania. Nie widzę w tym wszystkim nawrotu do dawnych afrykańskich rytuałów — przeciwnie, dostrzegam tu celowy krok naprzód w procesie, zwanym ogólnie dekolonizacją.

Na czym bowiem ta dekolonizacja w dzisiejszej Gwinei polega? Nie tylko na ostatecznym rugowaniu resztek wpływów gospodarczych metropolii, ale także i na restaurowaniu ludzkiej duszy. Tak. Te przesadne może parady, pochody i dekoracje — to środki stosowane „od zewnątrz” na ciężką chorobę, którą pozostawił w spadku kolonializm: na kompleks niższości. Ludzie, których przez lata całe oficjalnie i nieoficjalnie nazywano barbarzyńcami, półgłówkami, a co najwyżej dużymi dziećmi, teraz mają sobie uzmysłowić i utrwalic w pamięci, że wolno im nareszcie głośno śpiewać własny hymn i witać na cześć własnych przywódców. „Możemy sobie dzisiaj pozwolić na takie święta” — powiedział mi jeden z gapiów podczas defilady i nie potrzebowałem żadnych dalszych wyjaśnień.

„Afrykański” kompleks niższości... Zdziwić może kogoś,

że istnieje on jeszcze w kraju niepodległym, który musiał sobie niepodległość sam wywalczyć, a pojęcie walki przeciwstawne jest przecież wszelkiej potulności i zastrachaniu, wszelkiemu poczuciu niższości.

Przed wszystkim czynnie nie walczyli wszyscy; część dawała tylko moralne poparcie walczącym. A dalej — marzenia o wolności nie są równe wolności samej i czegoś ten, który, nieprzygotowany psychicznie, stał się nagle obywatelom suwerennego kraju, poczuł się w nowej roli dosyć głupio. Robiłem czasami w Konakri pewne eksperymenty, nie zaśługujące zresztą na pochwałę, jakkolwiek ich cel „poznać” nieco mnie tłumaczy: zakładałem się ze znajomymi, że uda mi się wejść bez przepustki do strzeżonego przez wartownika urzędu. Przed bramą przybierałem możliwie najbardziej napuszoną postawę, rzucałem przez ramię „ca va, camarade” i sztywnym krokiem, nie zaczepiony, wchodziłem do wnętrza. A wystarczyło przecież ujawnić chociaż cień niezdeterminowania, czy — co jeszcze gorzej — zadać strażnikowi jakiegoś pytania, i już zaczynały się legitymowania, tasłemcowe formalności, przepustki, telefon do przełożonych; kompleks czarnej skóry dawał o sobie znać przegięciem w drugą stronę, podkreśleniem swojej pozycji, godności, władzy.

Niechaj nikt jednak nie sądzi, że na wspomnianych „środkach zewnętrznych” kończy się terapia z kompleksów. W organizacjach partyjnych, w szkołach i innych instytucjach oświatowych toczy się wielki, planowy bój o „dekolonizację intelektualną”. Nie o co innego tu chodzi, jak o wyprostowanie przygarbionego ducha byłego „barbarzyńcy”. Jednym ze sposobów, który ma wrócić mu pewność siebie i poczucie własnej godności, jest odkłamanie historii, dotychczas preparowanej w duchu podnoszenia na piedestał kolonialnej władzy i mieszaniny z błotem wszystkich, co afrykańskie, co z Francji, D'Outre Mere". Na ich kartach ciągnie się nieprzerwany patetyczny epos podbojów Afryki, krwawych pacyfikatorów, tacy nawet jak Arigonvany i Archinard, obojętni są glorią dobroczynców,

Otwórzmy karty jakiegokolwiek podręcznika historii, jakiegokolwiek publikacji periodycznej, ukazującej się we Francji „D'Outre Mere". Na ich kartach ciągnie się nieprzerwany patetyczny epos podbojów Afryki, krwawych pacyfikatorów, tacy nawet jak Arigonvany i Archinard, obojętni są glorią dobroczynców,

Terytorium dzisiejszej Gwinei odkryte zostało dla Europy przez żeglarzy portugalskich na połowie XV w. Odkrywcę nazywali tę ziemię „Rzekami Południa”. Z rąk portugalskich przejęli Gwineę wyścinnicy rządu francuskiego, którzy pod koniec XIX wieku nadali temu krajowi status kolonialny. Jako kolonia, wchodząca w skład Zachodnio-Afrykańskiej Wspólnoty francuskiej (A.O.F.), przetrwała Gwinea aż do roku 1958, kiedy to ludność miejscowa wypowiedziała się w powszechnym referendum za niepodległość kraju. Prezydentem suwerennej Republiki Gwinei został działacz związkowy i przywódca Demokratycznej Partii Gwinei (P.D.G.) p. Sekou Touré.

Obszar Gwinei wynosi 245.857 km. kw., ludność 2.800.000. Prawie cała ludność wyznaje islam (98%). Gwinea nie jest krajem narodowościowo jednolitym; jej terytorium zamieszkują trzy plemiona główne — Susu, Malinké i Fula — oraz kilka mniejszych.

W okresie kolonialnym gospodarka Gwinei oparta była głównie na monokulturze bananów, dopiero po drugiej wojnie światowej administracja francuska przystąpiła do eksploatacji bogatych złóż rudy żelaznej i aluminowej. Obecnie wolna Gwinea zamierza budować własny przemysł w oparciu o żywe kontakty handlowe ze Związkiem Radzieckim, Polską, Chinami Ludowymi, Czechosłowacją, Węgrami i Niemiecką Republiką Demokratyczną.

W stolicy Gwinei — Konakri (80.000 mieszkańców) przebywa obecnie wielu Polaków, którzy na zaproszenie rządu gwinejskiego objęli tam ekspozowane stanowiska w resortach ministerialnych, zarządzając portów, rybołówstwo itp. W ramach umowy handlowej Polska dostarcza Gwinei artykuły przemysłowe (samochody, papierosy, cement i inne) w zamian za rudę żelazną, owoce palm olejowych, banany, kopre etc.

Gwinea, wraz z Ghaną i Republiką Mali, należy do członków państw afrykańskich, walczących bezkompromisowo o wyzwolenie całej Afryki spod panowania kolonializmu oraz o unicestwienie zaskusów tak zwanego neokolonializmu, który wpływa na gospodarkę i politykę na byłe kolonie stara się zastąpić utracone wpływy polityczne.

a ci, którzy im się przeciwstawiali, określani są jako okrutnicy, fanatycy i tak dalej. Na pochlebna wzmiankę zasługują wśród Afrykanów — jedynie zdrajcy. Przywodzi to na pamięć pewne koncepcje Kiplinga, a zwłaszcza paradoksalną postać Gunga Dina, owego hinduskiego „volksdeutsche”, który ginie walcząc po stronie Anglików przeciwko swoim braciom — jeszcze niewymownie się cieszy, że Imperium pozwoliło mu oddać życie za kolonialną sprawę.

Dekolonizacja intelektualna zmierzyć musi zatem do odgrzebania z pyłu zapomnienia postępowych, wolnościowych tradycji Gwinei. Sprawa jest niezwykle trudna, z wielu względów. Po pierwsze, istniejące źródła są z reguły źródłami francuskimi; prawdy trzeba dopiero szukać między wierszami, trzeba wykorzystywać wszystkie polemiczne sejsy pomiędzy poszczególnymi autorami, wyszukiwać rzeczy dotąd niepublikowane ze względu na swoją „drażliwość”. Po drugie, afrykań-

scy bohaterowie odbiegają istotnie od wzorów moralności i intelektu Diderota i Lenina; trzeba przeto od razu tłumaczyć, że urodzili się i wychowali w innych warunkach, że umysłowość ich i metody działania rozwijały się w innej sferze pojęć. A tłumaczenie tego nie przychodzi łatwo; wielu Afrykanów, zwłaszcza trochę wykształconych, przykładają do czynów ludzkich miarkę już dzisiejszą, zapamiętaną z książek współczesnych, które przypadkiem lub nie przypadkiem trafiły do ich rąk.

Rzucmy chociażby okiem na dwie sztandarowe postacie gwinejskich bojowników przeciwko kolonializmowi. Ich życiorysy są już niżej opracowane — a przecież ile tu luk, ile wątpliwości!

Jeden z nich nazywał się Alfa Yaya i jemu to właśnie poświęcony jest hymn narodowy Gwinei. Wiadomo o nim, że był naczelnikiem prowincji Labé i w latach 1905-1911 „wywołał zamieszki razem z grupą innych ksenofobów”. Zwabiony przez guber-

natora Frezols do Konakri, został aresztowany i skazany na zesłanie. Podstępem też ścigał jego syna i zesłano razem z ojcem. Powrócili obaj po kilku latach i znowu „spowodowali kłopoty”. Aresztowany ponownie w roku 1911, uwięziony został Alfa Yaya w Port-Etienne, zwanym „suchą gilotyną”, gdzie zmarł już po roku. Zasłużył więc z pewnością na miano ofiary kolonializmu, ale sam przebieg walk, które prowadził przeciwko Francuzom, i nawet konkretny przedmiot sporu — do dzisiaj nie są znane.

Drugi zwał się Samory Touré, działał w końcu XIX wieku. O nim mamy już więcej szczegółów. Na pograniczu Sudanu i dzisiejszej północno-wschodniej Gwinei utworzył niezależne cesarstwo ze stolicą w Kankanie. Przez siedem lat skutecznie odpierał ataki wojsk francuskich. Posiadał kilkunastotysięczną armię nienajgorzej uzbrojoną, znakomicie zorganizowaną. Stosował w walce taktykę przypominającą metody nowoczesnej partyzantki. Był również prawodawcą, muzułmańskim kaznodzieją, słowem prawdziwą głową państwa. Ale Francuzi odbarzyli go przydomkiem „Krwawego Samory”, odmalowali jako potwora, porównali z Atyllą. I co na to poradzić? Wypada chyba przyłączyć się do zdania współczesnego publicysty gwinejskiego, który tak o nim pisze: „Nie chodzi wcale o to, aby idealizować Samory; był to człowiek swojej epoki, produkt społeczeństwa, w którym się urodził; był to człowiek wojny, a nie ma przecież wojen humanitarnych”.

Pracując więc dzisiaj gorączkowo gwinejskie archiwa, kompletując dokumenty, w sprawach nowszych spisując zeznania naocznych świadków. Opatrują rezultaty swych badań komentarzem i materiałami te publikują sukcesywnie w czasopiśmie. I tak się rodzi nowa historia, na gorąco, dynamicznie i pospiesznie, podobnie jak cała państwowość wolnej Gwinei...

Dekolonizacja intelektualna siłą rzeczy zwracać się musi przeciwko Francji, ale jedynie przeciwko Francji imperialistycznej, przeciwko Francji — byle „metropolii”. Dla wykształconego Gwinejczyka pojęcie „Francuz” nie jest synonimem kolonialisty. Przeciwnie — Francuz jest dla niego przedstawicielem narodu, którego wkład w kulturę światową nie ma sobie równych. Człowiek z grupy gwinejskiej studiował przecież nie gdzie indziej, jak właśnie w Paryżu; nie tylko jej język francuski, lecz cały sposób myślenia, cały model wewnętrzny. Gwinejczyk — to w pewnym sensie czarny Francuz. Zeby się z nim porozumieć, nie wystarczy mówić po francusku. Trzeba mówić tak jak Francuz, operować tymi samymi kategoriami pojęć, wysłać się stylem właściwym Francuzowi, używać jego argumentacji. Jeśli nie wiesz, kto to był Wolter, przepadłeś w oczach Gwinejczyka, chociażbyś nie wiedział żaden zaleciał rozporządzał poza tym. Dogadasz się może na pozór — ale nie porozumiesz do końca. Nie będzie cię szanował. I słusznie.

Tyle, co do stanowiska oświeconego Gwinejczyka. Sprawy komplikują się natomiast tym więcej, im niższy będzie poziom intelektualny „tubylcy”. W okresie ostrej walki przeciwko kolonializmowi „doły” identyfikowały często Francuza z kolonialistą, a nikt z przywódców nie miał czasu ani potrzeby tłumaczyć problemu rozwarstwienia społeczeństwa w samej Francji. I właściwie postępował słusznie, jako że obrzygnięta większość przybyszów z metropolii stanowili urzędnicy administracji, żandarmi, kupcy-wyzyskiwacze i inni funkcjonariusze aparatu ucisku. Francja — to był z jednej strony synonim autoryte-

tu białego człowieka, jego cywilizacji i kultury, z drugiej zaś — synonim znieprawdzonej, obcej przemocy. Francuzi odeszli, wyobrażenia te zostały. Zabawne, jak dzisiaj reagują Gwinejczycy — nabrała do niego pogarda, ponieważ wysuwają wnioski, iż na pewno nie ma on nie wspólnego z osiągnięciami myśli europejskiej. Jeśli mówi po francusku — ściga na siebie podejrzenia, że pozostaje w jakichś konszachtach z kolonializmem. I tak źle i tak niedobrze.

Uczulenie na „białą twarz” idzie dalej. W niektórych środowiskach murzyńskich każdy biały uchodzi za faktycznego, lub co najmniej potencjalnego kolonialistę. Z nieufnością śledzi się jego kroki, wisi nad nim bezgłośnie pytanie: co ty właściwie tutaj robisz? Twoje miejsce jest w Europie, w Ameryce, tam gdzie ludzie mają białe twarze.

Ciężki to problem, zwłaszcza dziś, gdy wielu białych przybywa do wolnych państw afrykańskich z bezinteresowną pomocą. W przodujących warstwach społecznych dzisiejszej Gwinei ludzie orientują się doskonale w układzie politycznym świata i zdają sobie sprawę, że obóz socjalistyczny miał zawsze i ma w swoim programie poparcie dla krajów kolonialnych, walczących o wyzwolenie. Ci Gwinejczycy wiedzą, że obecność obywateli radzieckich, polskich, czechosłowackich w wyzwolonej Gwinei ma na celu właśnie utrwalenie jej niepodległości. Wiedzą, że polityczna wolność byle kolonii, to dopiero etap pierwszy niepodległości prawdziwej, że koncepcja neokolonialistyczna polega na zastąpieniu utraconej władzy bezpośredniej wpływami pośrednimi, uzależnieniem gospodarczym byle kolonii. Wiedzą, że obóz socjalistyczny nie chce natomiast dopuścić do tej zamiany siekierki na kijek i że z tej racji nawiązuje do święto narodowymi państwami Afryki stosunki handlowe, posyła swoich fachowców, słowem współpracuje na bazie równości. Nie wszyscy jednak rozumieli te rzeczy i początkowo nawet do nas podchodził z rezerwą. Czas jednak biegnie. Zaczęły do Konakri zawijać statki z towarami radzieckimi, polskimi, węgierskimi. Specjaliści przystali z tych krajów montowali na miejscu maszyny, organizowali taką lub inną dziedzinę gospodarki. A w ślad za tym nie postępowały żadne tendencje „wykiwania” Afrykanina, ani nawet objawy europejskiej wyniosłości. Przeciwnie: na każdym kroku ujawniała się przyjacielska postawa owych „niezwykłych” przybyszów. Gwinejczyk, nawet ten najmniej orientujący się w odcieniach światopoglądu białych ludzi, zaczął rozoznawać się w wachlarzu białych, pojął wreszcie, że jeden drugiemu nierówny. To już sukces poważny.

Z niemałą przyjemnością możemy oświadczyć, że i my, Polacy, dolożyliśmy swoją cegiełkę do rehabilitacji białego człowieka w Afryce. Jest to jednakże historia już osobna, wykraczająca poza ogólne ramy procesu „intelektualnej dekolonizacji”.

MIROSLAW AZEMBSKI

W następnym numerze:

LUCJANA WOLANOWSKIEGO

„KSIEŻYC nad TAHITI 1961”

NA ZACHODZIE BEZ ZMIAN

NA MOCY ART. 131 KONSTYTUCJI NRF...

31 marca 1956 roku, na mocy art. 131 konstytucji Niemieckiej Republiki Federalnej, powołano w NRF do służby państwowej ponad 181 tysięcy byłych funkcjonariuszy nazistowskich, uprzednio ściganych za różne przestępstwa z okresu hitlerowskiego.

Przy pomocy owych doświadczeń „kadr” prowadził się dziś w NRF określona akcja psychologiczno-propagandowa. Bazuje ona, podobnie zresztą jak w okresie rządów Hitlera, na antykomunizmie i „sowieckim niebezpieczeństwie”. Wprężnięto do niej prasę, kino, radio, książki, a także naukę w szkołach. Nie od rzeczy będzie dodać w tym miejscu, iż ponad 30 proc. nauczycieli i profesorów powołanych na stanowiska w początkach 1956 r. stanowią ludzie znani ze swej wierności dla ideologii nazistowskiej.

Z książek szkolnych starannie usunięto fakty z okresu rządów Hitlera, a wydarzenia z lat 1945-47 zaklamano.

„Der Mensch in Wendel der Zeiten” (Człowiek na przestrzeni wieków) — to podręcznik historii dla uczniów klas V i VI. Relacjonuje się w nim okres historyczny od r. 1914 do r. 1945 na 71 stronach, z czego aż 41 poświęcono czasom III Rzeszy... W wydaniu z r. 1948 (tego samego podręcznika) okresowi 1914-1945 poświęcono już zaledwie 41 stron, z których tylko 13 omawia makabryczny okres władzy Hitlera. Ponadto 13 stron, traktujących o hitlerowskich obozach koncentracyjnych usunięto z nowego wydania.

CZTERY I PÓŁ LINIJKI O EKSTERMINACJI ŻYDÓW

W innym podręczniku historii dla dzieci okres 1840-1914 zamknięto na 114 kartkach, a tragiczny okres II wojny światowej streszcza na 11, z czego masowej eksterminacji Żydów poświęcono... cztery i pół linijki...

Inne podręczniki, sławiające wewnętrzną i zagraniczną politykę Hitlera, zmieniają do usprawiedliwienia i wybielenia wojny prewencyjnej.

W książce „Grundriss der Geschichte” (Zarys historii) czytamy m.in.:

„Sukcesy Hitlera wśród ciężko doświadczonych złomów przeszły oczekiwania jego wrogów. Większość Niemców poszła za nim, gdyż położył kres groźbie komunistycznego niebezpie-

czeństwa, zlikwidował bezrobocie i strząsał kajdany Traktatu Wersalskiego”.

W „Werden und Werden” znajdujemy taki oto fragment:

„Rok 1936 był szczytowym punktem kariery Hitlera. Spośród wielu wyjątkowych cech jego charakteru zagraniczny meżowie stanu podkreślali wybitną indywidualność. Także poza granicami Niemiec cieszył się on zawsze wielką sympatią”.

Przyłączenia Austrii do Niemiec hitlerowskich, aneksji Sudetów, a następnie Czechosłowacji, wreszcie napad na Polskę dokonano rzekomo na prośbę uciskanej ludności niemieckiej, zamieszkałej na tych terenach. Specjalnie podkreśla się błyskawiczny przebieg tych operacji, a Monachium uznaje za wielkie i słuszne zwycięstwo.

GAZETKI DLA GRZECZNYCH DZIECI

Ponad 400 gazetek dla szkół subdytuje rząd bawarski, pod warunkiem, że szkoły zamieszczą w nich anonsy, zachęcające do wstępowania do Bundeswehry. „Landwerhefte” (Notatnik żołnierza), broszura wydawana po niskiej cenie z przeznaczeniem dla młodzieży, ma nakład ok. 20 mln egzemplarzy rocznie. Zamieszczane tam artykuły silą się na rehabilitację żołnierzy i armii niemieckiej. W całości, broszura podsyca dążenia odwetowe. A oto próbka „prozy” z Landwerhefte:

„ukazuje się wykrzywiona twarz Rosjanina; szybki jak błyskawica naciskam spust karabinu i widzę padającego człowieka. Roztrzaskana czaszka. To był Mongoł. Jego nieruchome oczy patrzyły na mnie, jak oczy szczeniaka... Tytuł tego wspomnienia — „Zwischen Wolchow und Leningrad” (Między Wołchowem a Leningradem).

Jeszcze jeden cytat z tego „pismka dla dzieci”:

„Było to w roku (1939) wielkich zwycięstw. Czechosłowacja należała do Reichu, podobnie jak Austria, Polska została pokonana w toku wojny błyskawicznej. Była to wielka epoka, obfitująca w sukcesy i laury...”

Przed młodym Niemcem ukrywa się prawdę historyczną bardzo skrzętnie. W mniemaniu uczniów i studentów trybunał międzynarodowy w Norymberdze jest symbolem niesprawiedliwości, gdzie — wbrew prawu — skazywano niewinnych.

W „Weltgeschichte der neuesten Zeit” (Współczesna historia świata) czytamy m.in.:

„W r. 1945 zebrał się w Norymberdze międzynarodowy trybunał zwycięzców. We wszystkich procesach zwycięzcy byli zarazem prawnymi, oskarżycielami i sędziami. Prawo nie było respektowane...”

A w „Die neueste Zeit von Ursprung des USA bis heute” (Epoka współczesna od powstania USA aż do dnia dzisiejszego):

„Trybunał uważał niejednokrotnie za zbrodnie akty, których nie zabraniało prawo międzynarodowe.”

To samo w „Grundriss der Geschichte” (Zarys historii):

„Procesy te głęboko zraniły godność narodu niemieckiego. Przede wszystkim dlatego, iż wytoczono je również członkom armii, która nakłada na żołnierzy obowiązki wykonywania rozkazów wojskowych...”

Z WYPRACOWANIA UCZNIA

Wpływ zafałszowanej nauki na umysły młodzieży niemieckiej jest wprost przerażający. Oto kilka przykładów z wypracowań uczniowskich:

„Hitler był bardzo wielkim człowiekiem i bardzo surowym, i był prezydentem zjednoczonych Niemiec...”

„Hitler dał ludziom pracę i kazał budować autostrady...”

„Żyd ma czarne oczy i czarne włosy. Wyznaje także inną wiarę, niż my...”

„Wszyscy Żydzi mają zakrzywione nosy i duże nozdrza...”

Przykłady te były cytowane przez „Vorwärts”, organ partii socjaldemokratycznej.

Odpowiedzi uczniów na pytania dotyczące odpowiedzialności narodu niemieckiego za masową eksterminację Żydów są niemiłe „budujące”: 51 proc. uczniów nie ma o tym zdania, 14,2 nie dało odpowiedzi, 8,5 proc. dzieci odpowiada — „naród niemiecki nie ponosi za to winy”, a 25 proc. potwierdza — „Żydzi byli po części sami sobie winni”. (Cytowane przez „Daily Mirror”, Londyn, 13. I 60 r.).

Młodzi Niemcy zaczynają po prostu myśleć, że po klęsce w r. 1945 ich kraj został zmaltretowany i oskażony. Obciążeni antyradzieckim bagażem i kształtowanymi w nienawiści do demokracji stanowia idealną pożywkę, na której łatwo przyjmują się polityka odwetu i wojny, zresztą zaszczylenia przez starych rutyniarzy z aparatu propagandy b. III Rzeszy.

W „Kleine Deutschland

Kunde” (Mała geografia Niemiec) znajdujemy takie oto sformułowanie:

„Za Odrą i Nysą leżą ziemie niemieckie... gdzie, po wypędzeniu Niemców, osiedlono kilka tysięcy Polaków... Wielkie połacie tej żyznej ziemi leżą odłogiem i przemieniają się w step. Niemcy nie mogą wyrzec się tych 114 tysięcy kilometrów kwadratowych swojej ziemi...”

„STARZY KOMBATANCI” WERBUJĄ MŁODZIEŻ

Poza szkołą i uniwersytetem działają liczne ugrupowania młodzieżowe, zorganizowane w 48 związkach, które liczą ok. 250 tysięcy członków. Większość z nich pozostaje pod „ojcowską” opieką stowarzyszeń byłych kombatanów. Ponad 100 ugrupowań, takich jak „Młodzi Niemcy z Sudetów” (Sudetendeutsches Jugend), „Młodzi Niemcy ze Wschodu” (Ostdeutsches Jugend) i szeregi innych jest orientacji czysto militarnej. Ich przywódcy, którzy bardzo często wywodzą się z kadr b. Hitlerjugend, otwarcie manifestują dążenie do odebrania siły ziem leżących na wschód od NRF oraz prowadzą intensywną i jawną propagandę rasistowską.

Psychologiczna akcja odwetowa i wojenna rządu bawarskiego, który bardzo często wywodzi się z kadr b. Hitlerjugend, otwarcie manifestują dążenie do odebrania siły ziem leżących na wschód od NRF oraz prowadzą intensywną i jawną propagandę rasistowską.

Na mocy układow w Poczdamie blisko 13 milionów Niemców osiadło w Republice Federalnej. W zależności od rejonów, z których pochodzili (Landsmannschaften) zgrupowano ich w odpowiednie stowarzyszenia, a te z kolei w jeden Związek Wysiedlonych, tzw. „Bund der Vertriebenen”.

Przywódcy stowarzyszeń wybierani przede wszystkim pod kątem nazistowskich zapamiętań, podtrzymują wśród wysiedlonych iluzję, iż chodzą tutaj tylko o prowilozorne rozwiązania i że wkrótce — w następstwie wojny — powrócą oni na dawne ziemie. Przesiedleńcy znajdują się w większości w sytuacji przymusowej i z tego też względu są rezerwuarem taniej siły roboczej oraz podatnym materiałem dla bońskiej propagandy.

POD BATUTĄ OFICJALNYCH OSOBISTOŚCI

Zasadniczy ton tym awanturkowym poczynaniom NRF nadaje sam kanclerz Adenauer i jego ministrowie. Ich deklaracje, podobnie zresztą jak i deklaracje stowarzyszeń odwetowych, są



Kioski toną w powodzi takich oto broszur, w których starzy „wiarusi” b. armii hitlerowskiej zamieszczają swoje wojenne „wspomnienia”...

nazbyt liczne by można je wszystkie zacytować w tym artykule. Niemniej, niektóre warto.

„Zrobimy wszystko i pójdziemy aż do końca. Mówię wyraźnie — do końca, żeby nam zwrócono sowiecką strefę okupacyjną...” Deklaracja bońskiego ministra spraw zagranicznych von Brentano z r. 1952 — „Bayerische Volk Echo-München”, 8. III. 52 r.).

„Powinniśmy otaczać opieką naszych młodych rolników, żeby pewnego dnia byli gotowi do kolonizacji wschodu...” (K. Adenauer, Biuletyn Służby Prasowej i Informacyjnej rządu federalnego, Bonn, 3. II. 53 r.).

Przywódcy stowarzyszeń przesiedleńców, mając w swych szeregach synów dyktatorów bońskich, protegowani przez wysokie osobistości rządowe, rozkręcają gwałtowną propagandę odwetową. Z okazji sporządzania programów do tygodniowych czy miesięcznych zebrań lub dorocznych kongresów z reguły padają słowa o odwecie i wojnie.

„Nie będziemy zadowoleni tak długo, aż Pomorze nie stanie się terytorium niepodzielnie niemieckim. Tak długo, aż Niemcy nie będą złączone, a linia Odra-Nysa przekreślona...” (Dr. Oskar Egget, prezes stowarzyszenia przesiedleńców z Pomorza, wg „Frankfurter Neue Presse” z dn. 31. V. 55 r.).

WBREW UKŁADOM W POCZDAMIE

Do wojowniczych wystąpień stowarzyszeń przesiedleńców dołączają się również organizacje byłych kombatanów. Zakazane przez układy w Poczdamie, rozwijają się znakomicie w NRF, w szczególności w ostatnich latach. W r. 1950 było ich 160, w r. 1960 przekroczyły już liczbę 1200. Większość z nich połączyła się w jeden związek „Ring Deutschen Soldatenverbände”, który liczy ok. 300 tysięcy członków.

W rzeczywistości są one bazą i rezerwuarem Bundeswehry. Tam kulturowe są i odradza pruską tradycję militarną, tam wpaja się w młodzież szowinizm i chęć odwetu. Działalność stowarzyszeń jest wielokierunkowa, ale cel jeden — wojna odwetowa. Pewne pojęcie o „wyznaniu wiary” stowarzyszeń daje także oto sformułowanie, które aż nadto wyraźnie określa ich awanturniczy charakter:

„Okres głupoty politycznej narzucony nam przez naszych jutrzejszych sojuszników nie zdołał nas zmienić, przeto nie ma potrzeby, żeby nas, żołnierzy frontowych, jeszcze raz redukować. Innymi słowy jesteśmy tacy sami, jacy byliśmy od roku 1914 do roku 1945. I tacy zostaniemy...” („Der Frontsoldat Erhalt” nr 6, z r. 51)...

Wybrał i opracował K. S.

TADEUSZ PAPIER

BUSZUJĄCY W SUCHYCH TRAWACH



Andrzej Brycht w karykaturze Ibis-Gratkowskiego

Zaden z bohaterów opowiadań. Andrzej Brycht nie usiłuje zmienić swojego życia, ani Balbina, ani Wąs, ani Kojber i Heniek Małpa. Cygan stoi z nożem w ręku, zamordował nim swoją dziewczynę, myśli, może nie zawsze tak będzie, może jeszcze będzie inaczej, ale jak to „Inaczej” ma wyglądać, tego Cygan nie wie. Balbinę zakłuto, nie ma już Balbiny, co tam świat obchodzi, że był taki Balbina? Oto mamy zupełnie dno, obserwujemy świat lumpów, bandytów, wykończonych. Balbina żyje wódka, dziewczętami i roz-

bojem, Kojber żyje wódką i rozbojem, Cygan, który chciał uratować swoją dziewczynę przed tym światem, zabija ją, kto się uratuje? Wszyscy żyją w rezygnacji, czekają w swych norach i kryjówkach na wyrok, na milicję, życie jest okrutne i przerażające, ma wymiary łóżka, piwnicy, nikt nie szuka żadnej prawdy, ani Balbina, ani jego „gigantki”, Bożena, Kryśka, Zdzicha, „zwierzątka pozabawione serca i rozumu”. Jest to świat o osobnych kryteriach wartości człowieka, treść życia sprowadza się tutaj do prymitywnych przygód seksualno-erotycznych,

żarcia i wódki. Bohaterowie „Suchych traw” tworzą grupę wyizolowaną i antagonizującą wobec społeczeństwa, przenikniętą swobodą obyczajową, nacechowaną okrucieństwem i brutalnością, takie tutaj panuje prawo życia, taka moralność.

A jednak Balbina, który przyczynił się do śmierci swego ojca, potrafi się zdołać na wprost niezwykłą delikatność wobec głodnego

przyjaciela, Cygan — zabójca dobrowolnie zgłasza się na milicję, bohater najętego chyba opowiadania („Mocart”) nie ucieka przed spodziewanym przyjściem milicji, i on przeżywa kryzys, marzy o spotkaniu z „kobietą”, co gra przez radio, tylko czy ona wie, jak żyje Heniek Małpa, i Śniady, Kojber, Balbina, Kaban — nie wie, nie dowie się nigdy. Tragizm tych postaci polega na tym, że autor pokazuje „wewnętrzną dwoistość ich psychicznej struktury”, kłwta się obok suchych traw, miłość graniczy tu z morderstwem, brutalność z delikatnością. W języku tego potwornego światła złośliwość nie nazywa się złośliwością, zabójstwo nie jest zabójstwem, nie rozumiemy się wzajemnie, są dwa odrębne światy, normalny i tamten chory, inne kategorie i normy moralne. Co my nazywamy taniutkim sentymentalizmem, tam jest głęboka miłość, co chamsstwem, tam mistem. Czy bohaterowie „Suchych traw” zdają sobie sprawę ze swego cier-

pienia, czy wiedzą, że to nie jest życie, lecz vegetacja, barłóg? Nawet gdy są pieniędzy, mówi Balbina, jest ten sam barłóg, pieniądze mi szczęścia nie da. „Był pieniądz i było tak samo, pieniądze nie ma i tak samo jest”. „Nie ma sprawiedliwości”.

Czy na bohaterów „Suchych traw” należy spojrzeć tylko przez szklą paragrafów, przeznaczając dla nich wyłącznie cele więzienne? Czy są to ludzie o niezmiennym, raz na zawsze uformowanym charakterze? Brycht odpowiada, że nie, że w gruncie rzeczy są to ludzie bardzo nieszczęśliwi i bardzo zabłąkani. Autor nie interesuje się okolicznościami, które doprowadziły Balbinę i Śniadego do grupy przestępczej; ujawnia więzy łączące grupę, kodeks moralny i obyczajowy, który w niej obowiązuje. Charakteryzuje swoich bohaterów nie tylko przez to, co robią, ale i przez to, czego nie potrafią dokonać, do czego, często podświadomie, tęsknią. Aby poznać moralność Balbiny nie

wystarczy rozumieć zasad narzucanych przez tak zwane zdrowe społeczeństwo; trzeba sądzić grupę nie z kodeksem karnym, ale z sercem.

To już brzmi nawet makabrycznie, ale tego rodzaju protest stosuje autor „Suchych traw”. Brycht współczuje Balbinie, odnajduje w nim lepsze pokłady, chce mu pomóc. To jest ta postać buntu, miejscami przeliryzowana. Ale Brycht uważa, że jego bohaterowie już są ukarani, kara towarzyszy orszakowi zbrodni, powiada Platon. „Suche trawy” są interesującym dokumentem ilustrującym kulturę świata przestępczego, ilustracją brutalną, ostrą, ale taki już jest ten świat, któremu Brycht współczuje *).

* Proszę nie rozumieć tego tak, że choćby mimowolnie chce porównać bohaterów Brychta do pozytywnych gangsterów, ożywiających stronic powieści Mike Spillane’a, znanego rekordzisty od zbrodni i ekscytów erotycznych w swoich powieściach. Andrzej Brycht, „Suche trawy”, Wydawnictwo Łódzkie, 1961, str. 104, cena zł 4.

Dalszy ciąg ze str. 1

— Teraz jest trochę ciżej, ale łażą tam chłopcy, panie dzielnicy, łażą.

— Jak by co, to wiecie...

— Mówiliśmy o Zalewskim — powrócił do tematu sierżant. — Wie pan, jego matka jak dostanie „wsieckizny” to ucieka z domu na kilka miesięcy. Spotykam ją w różnych melinach. Mówię jej — idź pani do swojego chłopca. A ona — wróć jak będę miała dosyć tego co mi trza. Jej mąż jest stolarzem. Po jakimś czasie wraca do niego z brzuchem. Gdy się urodzi dziecko, to patrzą oboje na nie i nie mogą się w nim żadnego podobieństwa doszukać. Wtedy sprzedają dzieciaka bezdzielnym ludziom. Niby to nazywa się adoptowanie. Jak wezmą pieniądze za dziecko, to stolarz robi oficjalnie wprowadzenie żony do domu. Pije z nimi pół kamienicy. Kupują nawet trochę gratów. Za miesiąc sprzedają wszystko, a babę znowu niesie do chłopów. I tak w kółko.

Byłem nawet u tych, co wzięli dziecko stolarzowej i nie stolarza. Jak tu żyć bez dziecka — mówią. Jest święto matki, dzieciaki znoszą do domów kwiaty, laurki, a u nas głucho. Jest święto dziecka, każda kobieta niesie coś swoim, a my nikomu. Patrzyliśmy na siebie i płakać nam się chciało. Teraz mamy swoje dziecko. Kupione, bo kupione, ale jest. Ono o tym nie wie.

— Najgorsze jest to — ciągnął sierżant — że jak w domu nie może być dziecka, to chłop mówi do żony — twoja wina, bo jesteś jałowa. Niby to tak jest i nie jest. Gdyby chłopci rodzili dzieci, a nie kobiety, dopiero by wyszło na jaw, że dwa razy więcej walców łażą po świecie.

— Tak pan myśli?

— Chodź pan pod osiemnasty, to się pan sam przekonaj. W rogu ciemnego podwórza w oknach przylepionej do ściany kamienicy przybudówki paliły się światła. W izbie dwie kobiety krzątały się przy pieczeniu ciasta.

— Kiedy mąż wraca? — zapytał sierżant młodej blondynki.

— Za dwa miesiące.

— Już pan zdrowa?

— Tak, ale ślady zostaną.

— Panie dzielnicy, że bym to wiedziała, że mój syn jest taki, to bym nie dała mu się żenić — powiedziała starsza kobieta.

— Żeby to ja wiedziała — powtórzyła blondynka. — Niech pan powie, sierżancie, co ja jestem winna. Żyłam z nim dwa lata. Mówmy so-

domu nawet wyjdę na ten czas. Mąż był o mnie strasznie zazdrosny. Zwalniał się z pracy i przychodził do zakładu fryzjerskiego gdzie pracowałam. Nie mogłam się do nikogo uśmiechnąć. Jak wypił to zaraz bił. Długo nie domyślał się, że przychodziłam z kimś do jego domu. Raz upiłnował. Wybił okno, wskoczył do mieszkania. A resztę pan wie. Pociął mi ręce szklą z szyby. Dopóki siedzi, to jestem z teściową, ale jak wróci wyjadę z Łodzi.

— A co pani na -to? — spytał sierżant starszej kobiety.

— Niech jedzie. Żal mi jej będzie, bo dobra dziewczyna. Z moim synem szczęścia nie zagna.

„OŻENIŁ SIĘ STARY DZIAD”

Ulicą Żeromskiego zjeżdżały w kierunku Zielonego Rynku chłopskie wozy nalożone ziemniakami i słomą. Z uchylonych okien wystających znad trotuaru wybiegały na ulicę wrzawa i przysięgi.

„A co żeś ty za kobieta — Ze się boisz pistulita — Ja od deski ty od ściany — A pistulit między nami!”

— E! Ciszej tam — krzyknął sierżant schylając się do okna.

wizorze. Na patelni skwierczał smażony boczek z cebulą. Pod oknem, na posłaniu, poruszyła się niespokojnie stara kobieta.

— Szkło was uwiera? — spytał sierżant.

— Już dawno nie mam szkła — odparła cicho.

— A Czesiek „Krowa” mówił, że macie.

— „Krowy” tu już nie było ze trzy miesiące.

— Przecież była u was dzisiaj Irka.

— Klamala, Irka teraz chodź gdzie indziej.

Na schodach sierżant opowiedział mi:

— Ta siwa babka jest spaliżowana. W tapczanie, na którym leży, był ukryty schowek na flaszki z wódką. Długo nie mogliśmy na to trafić. Nikt by nie przypuszczał, że pod staruszką jest cały magazyn wódki.

W jedną sobotę siedzę u nich i czekam. W pewnej chwili babka poruszyła się na tapczanie. Usłyszałem wtedy zgrzyt tartego szkła. Spod tapczanu wytoczyła się strużka płynu. Domyśliłem się zaraz co jest. Umoczyłem but i czekałem aż zelówka nasłanie. Potem wyszedłem. Na schodach wytarłem but chusteczką. Wróciłem z nakazem rewizji. Znaleźliśmy pod babcią szesnaście litrów wódki. Na razie przestał handlować, ale nie na długo. Za duża pokusa. Oni

Wczoraj myślałam, że zważywał. Złapał najstarszego chłopaka za szyję, aż mu oczy na wierzch wyszły. Powiedział, że uduśi. Jak żeśmy go oderwali to rzucił się na mnie. Uderzył mnie w żołądek. Zgięłam się to kopnął mnie... jak tu panu powiedzieć, no... z przodu. Wtedy zemdlałam. Cucił mnie sikami z nocnika. Przez dzie wietnaście lat małżeństwa dobre dni policzę na palcach.

Ile tych dni mogło być — pomyślałam. Czy tyle ile jest dzieci, sześć, czy trochę więcej?

— Sama jesteście winna, Oraczowa. Po co chodziście z prośbą, żeby zwolnili



chłopa z leczenia? Jak się leczył to nie pił — zganił sierżant.

— Pił, panie sierżancie, też, ale dużo mniej. Po antabusie wypijał w domu szklaneczkę octu. To neutralizowało działanie antabusu. Po tym pił wódkę. Tylko że mniej. Raz to myślałam, że skona, tak go zaczęło dusić. Ryczał tak, że sąsiedzi się zbiegli.

— A do tej sąsiadki chodź jeszcze?

— Nie, nie chodź, bo schudła bardzo i wyjechała.

— Pan wie, jej mąż był doktorem, a wieczorami grywał na saksofonie w restauracjach. Miał jakąś inną kobietę. Swojej żonie mówił, że jest chora na serce. Badał ją często, robił jej jakieś zastrzyki. Ona bała się go i pozwałała mu robić, chociaż mdliło ją po tym bardzo. Przez dwa miesiące uschła jak wór. Przyjechała jej matka i zabrała ją do siebie, a lekarz sprzedał mieszkanie i poszedł do drugiej.

— A pani z mężem nie pi-je wódki?

— Skąd, panie sierżancie, nie mogę, ja sprzedaję swoją krew w stacji PCK. Krwi z wódką by nie przyjął. A wtedy co? Tak to chociaż łat-wo wydatki, bo mój mąż mi tylko 1.000 zł miesięcznie, ja w pracy zarobię 1.000, ale to mało na 8 osób. Dzieciaki już duże, chcą jeść.

— Wiecie co, Oraczowa, ja wystąpię z wnioskiem, zamkną go na miesiąc.

— To by mu się i przyda-ło, tylko że teraz zima idzie i jak zabraknie tysiąca zło-tych będzie ciężko. Niech pan go tylko postarasz.

I takie to sprawy, nie wy-myślono jeszcze na nie le-karstwa. Działają one na marginesie wielkiego miasta, i w jego sercu. Są wytwor-em konfliktów moralnych, obyczajowych — ludzkich ułomności i zalamania psy-chicznych. Sprawy sporej grupy ludzi, które muszą być pod stałym nadzorem wła-dzy. Chroni ona ich przed dalszym upadkiem, zawraca-je ścieżek występku, ratuje całość rodzin, przywraca dzieciom ojców, spotęrzeń-stwu wartościowe jednostki. Dzielnicy MO jest tu apo-stołem, sędzią, a niekiedy również — bezbronnym czo-wiekiem. Ma on za sobą tyl-ko prawo, które mu jedna przyjać, ale i przysparza wrógów. Tak jest przez ca-łe doby, tygodnie i jeszcze dłużej.

W mrocznym korytarzu ulicy wsiadła w noc ma-sywna postać sierżanta. Szedł dalej sam, bezmiej-sca, po których toczą się losy ludzkich nieszczęść.

BOGUSŁAW HOLUB

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

KOPERNIK i „baba” kamienna na olsztyńskim zamku

Gdy posnęły w obrazach wieloryby i święci
I zawarto żelazne przed krzyżactwem antaby,
A mistrz zegar słoneczny cieniem palca nakreślił,
Zwykły był schodzić wieczorem na dysputę do „baba”.

Ona oczu swych ślepych, bywa, wszeczepli weń kraby,
On wiodł laską po ziemi — zawsze w sporze zawzięci.
Wiatr ich dyskurs na Lynie do ostatniej sylaby
Iglą świerku zapisał dla potomnych pamięci.

I tak mówił Kopernik: — ziemia kręci się wokół
Kuli gazu — w niej firmant żyjeła w całej naturze.

A tak „baba”: — lat tysiąc w mym kamiennym mam oku,
Wierząc „babie” nagrobnej — ziemia rośnie ku górze.

A ów zegar słoneczny weale nie spał o zmroku
I w czas uprzągał komety, mocne pleśnie i różę.



Elegia na dzień WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH lekturą Horacego i innych exegimonumencistów wywołana

Któż jestem? — Lat dziesiątek nieruchawy Duński
Patrząc w tyse okno z Aleja Kościuski,
Zbieracz znaczków i listów co kosmos zaśmieca,
Ptak na gnieździe skład zaraz pisklęta uleca,
Dziś człowiek z zegarkiem, który ktoś nakreślił
Raz jeden — i sprężyna rozluźnia się w sercu,
Bohater anegdoty głędzonej trzy po trzy —
Jest na końcu pointa, która nie zaskoczy —
Iskra, która wyprysła przy tłucze kamienia,
Sekunda świadomości i wieczność omdlenia...

I któż jestem? — Rzecz ciągała i trwała nad podziw,
To mnie Homer wyśpiewał w czas, co nie zna godzin:
Mój przyjazd do Itaki na dachu brankardu
Opowiedział, i o mnie wznosił pieśń śpiewak Partów.
Petrarka mój ból serca zrymował, Wergili
Pisał, jak spod płomienia dachów i badyli
Pamięć ojca i wnioski wyniosłem wierutne.
Aristo — me historie, Ten, po kim mam lutnię,
Baka śmierć mą opisał, jakiej wam nie żyć...
I to samo poeci przyszli... Więc nie wszystek
Umre... A i naturą swą sztuką
Mój profil, nos zadarty, kształt niski da wnukom,
Choć to — tamte ulepszy, wymądrzy, naprawi
I cięższe wolumeny w regał mózgu wstawi —
Mój posąg nad śpiż trwalszy w wiek wieków

Przez co ujdę przewrotem, zmianom kursów, burzy
Arsenalów powietrznych... Któż jest więc, co chmurę
Będę nosem i z ustaw tu sztyde natury? —
Mieczurnowski wybryk — wie na ubaw gości —
Kwiat niezapominajki na dębie wieczności.



PRZEKŁĘTE REWIRY



„Ożenił się stary dziad,
ożenił się stary dziad
Z młodą dziolczą bardzo
rad...”

Odpowiadała mu druga przysiępka. Zeszliśmy do suterenu. Było w niej pięciu mężczyzn i dwie kobiety.

— A-a-a pan dzielnicy, siadaj pan. Wypije sierżant za moje zdrowie? — przy-mila się niebrzydka brunetka w średnim wieku. — A to są moi goście. Sierżant przejrzał dokumenty obecnych. Byli to chłopcy spod Ozorkowa i Łowicza.

— Chodźno, Irka — powie-dział sierżant do kobiety, od-wołując ją na bok.

— Mają oni forsę? — spy-tał szeptem.

— Te chamy? Skąd? Gol-cy, przyszli się zagrażać. W nocy zimno im przy wozach.

— Jak coś im zginię, to odsiedzisz zawieszanie.

— Najwyżej stracą nie-winność, panie sierżancie. Czy miał pan to na myśli?

— Nie to. Powiedz lepiej, gdzie kupiłaś wódkę, u No-wakowej, prawda?

U Nowakowej zastaliśmy starych znajomych. Nowak siedział w fotelu przy tele-

potrafił zarobić dziennie 500 i 1.000 zł. W jednej melinie pod trzydziestym trzecim znaleźliśmy 86 tysięcy zł w banknotach. Ukryte były w zalakowanym stoiku i wsadzone do garnka z konfiturami. W piwnicy u tej samej kobiety w skrynce pod węglem znaleźliśmy ponad 40 tys. zł w bilonie. Melin takich jest dziesiątki. Przy Zielonym Rynku po trzy i pięć w jednym domu. Co się kilka zlikwiduje to powstają inne.

No, ale pan już zmęczo-ny, zaraz pana zwolnię — powiedział żartem — tylko zobaczę czy Oracz jest spo-kojny. Dzisiaj przetrzyma-łem go całą noc w areszcie. Awanturował się w domu po pijanemu.

Oraczowa nie była zasko-czona wizytą.

— Nie ma go, umył się i powiedział, że idzie się po-wiesić — powiedziała sier-żantowi.

— Lepiej jak zrobi to sam, niż miałby zrobić to kto in-ny.

— Już sama nie wiem jak byłoby lepiej. Jak przestał pić, to był nawet niezły, ale ostatnie dwa miesiące co dzień przychodził pijany.



bie szczerze, tak jak w są-dzie. Nigdy nie miałam z nim przyjemności. Mówię do teściowej. Mamo, co jest ze Staszkiem? Spimy ze sobą jak dwie kobiety. Polasi się, potasi i chrapie. — To co ja ci zrobię, mówi teściowa. O prawdziwego chłopca nie trudno. Ja cię tam rozumiem i nie będę przeszkadzać. Z

PRZYJACIELE MIASTA



Gdyby istniała kronika działalności Towarzystwa Przyjaciół Łodzi pierwsze zdanie tego dokumentu brzmiałoby niechybnie tak: „Dnia 27 listopada 1959 roku w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki odbyło się pierwsze organizacyjne zebranie nowo powstałego Towarzystwa Przyjaciół Łodzi. Przybyło 300 osób”. Ktoś lubujący się w rocznicach wyliczył już zapewne, że od

sób prawidłowy kierunek działania — jest z pewnością lepiej. Koła szkolne są po prostu „łatwiejsze”. Nic więc dziwnego, że stanowią 64 proc. wszystkich kół. To na pewno dobrze, że na 10.000 członków TPL prawie 7,5 tysiąca stanowi młodzież. To dobrze, że młodzież poznaje historię swego miasta, jego architekturę, perspektywy rozwoju. Tylko... młodzież szkolna przecież się uczy, chodzi zbiorowo do muzeum, rysuje z nauczycielem rysunków podcienia na Starym Rynku. Działalność Towarzystwa na pewno nie dubluje działalności szkolnej — ona ją po prostu rozszerza, ale...

Pozostają bowiem koła przyzakładowe. Jest ich zaledwie 25, a jeszcze w maju tego roku liczyły sobie razem... 950 członków. Dziś Towarzystwo ma w zakładach pracy ponad 2 tys. członków, lecz jest to również diablo mało. Ów wspomniany 55-procentowy „nabytek” to przecież głównie ludzie dorośli, których po wojnie przyciągnął do Łodzi przemysł. Trzeba coś chyba zrobić, aby i oni uznali Łódź nie tylko za miejsce pracy i zamieszkania, ale za to „miejsce na ziemi, które się kocha”, aby wiedzieli o tym mieście nie tylko tyle, że

Towarzystwa odbyło ostatnio naradę, na której stwierdzono konieczność powołania w Łodzi miejskiego konserwatora zabytków. To dzięki kontaktom TPL z Instytutem Bibliografii w Lipsku wzbogacone zostało hasło „Łódź” w nowym leksykonie Meyersa.

Kolorowe fontanny na pewno cieszą oko i są jakąś tam przeciętną ozdobą. Ale jeśli budujemy w ciągu dwu lat cztery fontanny i wygłaszamy zaledwie 20 odczytów, to nawet kochający miasto łodzianin zawoła „młecz serce” i spyta, czy tu aby wszystko „gra”. I dochodzi do wniosku, że rzecz jest dyskusyjna. Dyskusyjna po prostu dlatego, że istnieją przecież odpowiednie placówki powołane do malowania bloków, budowania fontann... TPL oczywiście nie dubluje ich pracy, tylko po prostu poszerza. Lecz i tu posłużmy się słówkiem „ale”...

Ale piękna i jedyna w swoim rodzaju akcja Towarzystwa „Wycieczki po Łodzi” zamyka się co prawda ładną liczbą 50 eskapad, lecz jak wiadomo imprezy te cieszą się dużym powodzeniem i nawet na następne 100 chętnych by nie zabrakło. Zwłaszcza, że sięgnięto po formy atrakcyjne (wycieczki nocą, wycieczki dorożkami itp.). Może jednak nie warto więc rzucić się w wir inicjatyw, aby osiągać podobne sukcesy? Może lepiej wysiłki skierować na jeden, w miarę tylko szeroki, tor?

A co słysząc z planowaną przez TPL monografią „Łódź w XV-lecie”, której koszt przekraczała pół miliona złotych? Będzie to zresztą praca — nazwijmy ją — „pomnikowa”, naukowa, a więc ciężko strawną, a Łódź na pewno bardziej przydałby się cykl popularnych broszur historycznych, ekonomicznych czy nawet staty-



Łódź? Chodzi o to, aby TPL krzewiło wiedzę o Łodzi nie tylko poprzez monografię, które dotrą do stosunkowo niewielkiego procentu łodzian. Ale niestety, punkt trzeci, paragraf trzeci Statutu mówi, że środkiem działania Towarzystwa jest między innymi „inicjowanie badań naukowych nad dawną i dzisiejszą Łodzią”; punkt piąty tego paragrafu stwierdza, że także „wydawanie dokumentów archiwalnych...”. Sądzę, że można

te sprawy śmiało pozostawić łódzkim ośrodkom naukowym. Archeolodzy od lat grzebią w ziemi łódzkiej, historycy od lat grzebią w archiwach i publikują ciekawsze dokumenty. Myślę, że lepiej byłoby nie dublować naukowców (którzy zresztą zasiadają w zarządzie Towarzystwa), a wydawać właśnie pocztówki, własne informatory, broszurki, przewodniki, tylko nie, na Boga, redagowane przez nie-szczęsnego Omnipress.

W konkluzji trzeba stwierdzić, że dwa lata działalności TPL, to na pewno ogrom różnorodnych akcji — od ochrony zabytków starej architektury do naukowej monografii. Jeśli jednak autor tych słów nie zdobył się na grzecznościowo — zdawkową laurkę to po prostu dlatego, że laurki otrzymują zazwyczaj stetryczale babble, a Towarzystwo Przyjaciół Łodzi żadną miarą na takie miłośno nie zasługuje.



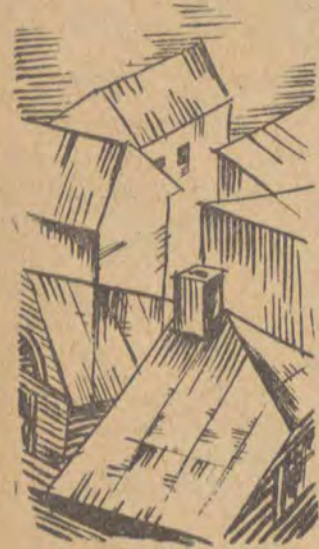
stycznych. Wystarczy przypomnieć tu powodzenie broszury Władysława Orłowskiego i Kazimierza Szewberga pt. „Łódź, twoje miasto”, wydanej w 1958 roku.

Jeśli już mowa o pozycjach wydawniczych, to czy TPL nie mogłoby pomyśleć o jakiejś dorocznej nagrodzie (choćby nawet symbolicznej) za najciekawsze publikacje popularyzujące



jest tu przemysł i stolica województwa. Cóż robić, cyfry są uparte. W Łodzi mieszka blisko 800 tysięcy osób. Tak więc jeden członek TPL przypada na prawie 80 tys. łodzian! Jakże w tym kontekście błąd wygląda liczba 20 odczytów o tematyce łódzkiej, zorganizowanych przez Towarzystwo.

O ile się orientuję, ani TWP ani inne instytucje organizujące odczyty — prelekcjami o tematyce łódzkiej raczej się nie szczycą. Dlaczego tak jest, nie wiadomo. Fakt, że w obecnej sytuacji jedynie TPL ma niejako monopol na ten zakres zagadnień. Wiadomo, oczywiście, żeby nie było żadnych nieporozumień, że Towarzystwo ze swojego skromnego funduszu (głównie wpływy ze składek) — nie jest w stanie organizować dziesiątków prelekcji. Pozostaje wszakże rola inspiratora. Rola choć mniej efektywna, ale przecież nie ostatnia. To przecież z inspiracji



tego momentu minęły właśnie dwa lata, o czym zresztą prasa codzienna nie omieszkala wyczerpująco po informować swoich Czytelników.

Ale mój felleton nie będzie urodzinową laurką i to wcale nie dlatego, że niżej podpisany w przeciwieństwie do innych piszących o TPL nie jest członkiem tego Towarzystwa. Rzecz jest znacznie bardziej skomplikowana.

Dla nikogo nie ulega wątpliwości, że myśl rzucona przez dwu łódzkich dziennikarzy red. red. Jagoszewskiego i Rudnickiego była wyjątkowo cenna. Stworzono zatem Towarzystwo Przyjaciół Miasta. To dobrze, to na pewno bardzo dobrze.

Zadania Towarzystwa także nie mogą budzić innych uczuć jak uznanie. W Statucie bowiem czytamy: „Stowarzyszenie ma na celu krzewienie miłości do Łodzi, pielęgnowanie jej tradycji, upowszechnianie wiedzy o tym mieście, jego przeszłości i pracy dnia dzisiejszego...”. Taka działalność w mieście, gdzie ponad 55 proc. mieszkańców stanowi „nabytek” już powojenny — jest na pewno konieczna i słuszną. W myśl tych właśnie zasad winna się układać praca wszystkich 70 kół terenowych. W kołach szkolnych, gdzie efekty pracy są bardziej uchwytne (gazetki ścienne, konkursy itp.), gdzie osoba nauczyciela-opiekuna — gwarantuje w jakiś spo-

Pisałem w IV-tym odcinku, że Łukasz Górnicki w „Dziękach w Koronie Polskiej” twierdził, że Zygmunt Stary nie wiedział o małżeństwie swego Zygmunta Augusta z Barbarą, gdyż ten ostatni nie przyznał się do potajemnego związku. Tymczasem inni historycy utrzymują, że Bona rozpowszechniała pogłoski, że główną przyczyną śmierci Starego Króla była właśnie zgrzyota na wieść o fatalnym małżeństwie syna. Jakże się więc sprawa przedstawiała naprawdę? Wątpliwość rozstrzyga autorytatywnie wybitny historyk Ludwik Kolankowski, który w Studium „Zygmunt August, Wielki Książę Litwy do roku 1548” przytacza list Starego Króla z marca 1548 r. do kasztelana trockiego Hieronima Chodkiewicza. List ten jest charakterystyczny, a jednocześnie tak odbiega pod względem stylistycznym od listu Barbary do męża (cytowanego w poprzednim felietonie), że warto go przytoczyć w wyjątkach: „Dajemy wiedzieć Twej Mości, żeśmy wyrozumieć z niektórych słuchów i opowieści. Jakoby Król Jego Miłość młody, wielki Ks. Lit. syn nas najmilszy, miał po tych świętach wiel-

kanocnych sam w Wielkim Księstwie wejść w związek małżeński z panią Gaszoldową, wojewodzina trocką i wesele sprawować. Aczkolwiek o tym jużśmy przedtem, będąc niedawno w Piotrkowie, słyszeli, i gdy Król Jego Miłość młody o tym z nami mówił, wtedyśmy na to nigdy zezwolić nie chcieli. Jakoż i teraz znowu dochodzą nas wieści, że Król J. M. młody garnie ku sobie tych wszystkich, kto mu się przydaje, i że Twoja Miłość też już zostajesz lub masz być wkrótce wezwany tam wraz z innymi panami radcami naszymi tamtejszego państwa naszego Wielkiego Księstwa Lit. i że od ciebie mają zażądać, abyś z miejsca swego dał na to małżeństwo zezwolenie. Otóż wobec tego oznajmujemy Twojej Mości, żeśmy na małżeństwo Króla J. M. młodego, które by hańbę przyniosło całej Koronie naszej i tamtejszemu państwu, Wielkiemu Księstwu Lit., nie przyzwolili, ani przyzwalamy. Przeto z tytułu zwierzchnictwa, któreśmy zastrzegli sobie, zarządzamy, aby Twoja Mość na to nieprzyzwalała, a gdybyś był wezwany na to wesele abyś

tam nie jeździł. Bo jeśli byś tam pojechał, to byłbyś i ty przyczyną tego poniżenia Króla J. M. młodego i państw naszych, którego by nie przyszło nam, ku żałości wielkiej i żelźniu państw naszych żałować”.

Chyba już nie można silnie: małżeństwo z Barbarą — przyczyną poniżenia Króla J. M. młodego i państw naszych! Interesujące się wydaje zestawienie klarownego pod względem stylistycznym listu Króla Zygmunta Starego z przytoczonym przeze mnie poprzednio listem Barbary do męża, listem, pełnym niejasności i zawilgłym stylistycznie. Są to listy wykoncypowane przez dwóch różnych chłopa pod każdym względem dwojaczny, gdyż co przyniosła dalsze kroniki o Barbarze, będzie potwierdzeniem wysuniętej już przeze mnie hipotezy, że nie pisała ona listów sama, kto wie, może nawet była niepiśmienna. Ale nasuwa się wreszcie pytanie, czym się tłumaczy ta uparta niechęć przeciwko małżeństwu ostatniego Jagiellona z Barbarą, niechęć, której nie mogły przełamać nawet próby jedynie syna? W swym dziele „Polska Jagiellonów” Kolan-

kowski nie waha się przed użyciem słów „Straszne małżeństwo”, twierdząc, że dopiero tajne listy Mikołaja Radziwiłła Czarnego, stryjecznego Barbary do jej rodzonych brata, podcześnie Mikołaja Rudego, pozwoliły po wielu latach zrozumieć istotę oporu całego bez wyjątku społeczeństwa w Koronie i to zarówno Izby Poselskiej, jak i Senatu na piotrkowskim, grudniowym sejmie 1548 roku przeciwko królewskiemu małżeństwu. A swoją drogą, co za dramatyczna sytuacja, której patosu i wielkości nie potrafił udźwignąć Alojzy Feliński, autor dramatu o Barbarze: „Rozpustna Litwinka” sama z mężem stawia czoło całemu niemał narodowi polskiemu, sejmowi i senatowi Rzeczypospolitej! „Jeśli Wasza Królewska Mość pan mój ze mną, to kto przeciw mnie?”

Dalszy ciąg kroniki w następnym felietonie.

KRONIKA SKANDALICZNA BARBARY RADZIWIŁŁOWNY

Władysław Rymkiewicz

NIEPRYZYWOITE MAŁŻEŃSTWO (VI)

odpłosu str. 7

PŁYTY z GAŁCZYŃSKIM

Szóstego grudnia minęła ósma rocznica śmierci K. I. Gałczyńskiego, poety z równym zapalem uwielbianego jak i zwalczanego. Uwielbia go większość czytelników, zwalcza mniejszość poetów, krytyków i zoilów. Ołbrzymia jego popularność i sława u nas, podobnie jak popularność i sława Sergiusza Jesienina w Rosji, przyszła nie od razu i nastąpiła dopiero pod koniec jego życia i po śmierci. Ale myśmy, jego najbliżsi przyjaciele, wie- dzieli od początku naszej z nim znajomości, że to jest ktoś szczególny, ktoś osobliwy wśród nas. Nie tyle mo- że dlatego, że inaczej pisał, ile, że sam był inny — in- ną jego poezji przyszła do- piero nieco później. Wątpię, czy miał kiedykolwiek jas- ną świadomość zupełnej od- rębnosci swojej poezji — ale poczucie odrębności swej o- soby towarzyszyło mu stale. To, że wcześniej porzucił stylizację wierszy i zaczął w nich wyrażać tylko siebie, nadało im właśnie to piętno oryginalnej odrębności, któ- re je tak wyróżnia z całej współczesnej poezji polskiej.

Tkliwa dynamika jego po- ezji, to przedziwny stop liry- ki z humorem, wzruszenia z drwiną, sentymentu z auto- ironią, patosu z sarkazmem i kpina z samego siebie — nigdy z czytelnika. Przy- czym podane to wszystko w celnych i zwieżłych formu- łach słownych, stosownym nastroju i z właściwym wy- czuciem stylu. Jeśli cho- dziło o jego poetyckie rodo- wód pod tym względem, trzeba by sięgnąć do Kocha- nowskiego, Andrzeja Mors- zyna, a zwłaszcza Słowackie- go. Nowoczesny barok liry- czny Gałczyńskiego wywo- dzący się z tych właśnie sta- ropolskich i romantycznych źródeł, ma także i bardziej współczesne dopływy anglo- saskie i francuskie: niejed- na filiacja łączy jego utwory z utworami Chestertona czy Belloc'a, Jeana Cocteau czy Maxa Jacoba. Również i wpływy hiszpańskie wcale znaczne od Cervantesa po Garcia Lorę dalyby się w nim bez trudu odnaleźć. Ale wszystkie te wpływy zosta- ły tak gruntownie przetopio- ne i stopione z sobą w ogni- stym tyglu żywiołowego ta- lentu Gałczyńskiego, że two- rzą zupełnie swoisty aliaż bardzo wysokiej próby.

Gałczyński miał słuch

słowny prawie absolutny. Stąd każde jego zdanie, to niemal fraza muzyczna. Nie byli obojętni na tę rzadką dziś cechę jego poezji słu- chacz. Wiersz drukowany Gałczyńskiego mógł się cza- sem temu i owemu nie po- dobać. Wiersz przez niego wypowiedzany publicznie, z estrady, czy też odczytywa- ny na głos w gronie przyja- ciół, chwytal, zagarniał so- bą i podbijał każdego bez zastrzeżeń. Pamięta się jego wiersze więcej ze słyszenia, niż z cichego czytania.

Należał do tych rzadkich poetów, podobnie jak Tu- wim, a w dalszej przeszłości Norwid i Żeromski, których głos podnosił walor artystycz- ny ich utworów. Nieskazi- telna dykcja szła u Gałczyń- skiego w parze z przyrodzo- nym darem natury — przy- jemnym timbrem o bardzo męskiej i ciemnej odmianie głosu. Taki głos aż się po-



sił o utrwalenie go na taś- mie fonograficznej. I tak też uczyniono w ostatnich nie- mał chwilach życia poety. O- calono w ten sposób od za- pomnienia tę część indy- widualnego czaru Gałczyń- skiego, która nierozłącznie związana była z doczesną własnością jego osoby.

Tuż przed ostatnią roczni- cą jego śmierci ukazała się nowa płyta z nagraniem au- torektacji „Niobe” i „Muz”. W poprzednich latach uka- zały się: „Spotkania z mat- ką”, „Przez świat idące wo- lanie”, „Wielkanoc Jana Se- bastiana Bacha”, „Zaczaro- wana dorożka”, „Sanie”, „Piosenka o Wicie Stwoszu” i „Śmierć Andersena”. Dziw- ne wrażenie sprawia żywy głos człowieka nieżyjącego.

A zwłaszcza osobiście zna- nego, bliskiego, z którym obcowano się niemal codzien- nie przez wiele dobrych lat. Początek mojej znajomości z Gałczyńskim sięga począt- ku warszawskiej „Kwadrę- gi”. Ale przyjaźń nasza, nie przyémiona niczym ani razu w ciągu bez mała ćwierćwie- cza, datuje się od pewnego wiosennego południa 1929 ro- ku, kiedy to z dopiero co wyszłym z druku debiutan- kim tomikiem moich wier- szy pt. „Krzyk z miasta” wszedłem do sławnego „Wróbla” na ulicy Mazo- wieckiej. Spodobałem się tam zastać Tuwima, nie za- stawiając go obok w „Małej Ziemiańskiej”, chcąc mu pierwszemu wręczyć ten to- mik. Jeszcze się dobrze nie rozpatrzyłem po sali, kiedy poczułem, że ktoś z tyłu o- garnia mnie ręką za szyję, a drugą wyjmując mi tomik spod pachy i podnosząc go w górę woła na całą salę: „Ecce poeta! Ecce poeta!” A po tym kierując mnie z wol- ną w stronę bufetu i nie zwalniając uścisku za szyję do kelnerów: „Koniak! Trzy gwiazdki! Całą butlę! Całą butlę! Evviva! Mariano, ach, Mariano!”

Nie wiem, jak się nagle znaleźli koło nas Władysław Sebyla, Zbigniew Uniłowski, Józef Czechowicz i Ryszard Dobrowolski, i Stanisław Ciesielski, i Szeniowski, i Kamil Witkowski ze Słobod- nikami, słynni pożeracze kiel- basy na gorąco, i Czesław Straszewicz, i Andrzej Woli- ca, a nawet sam Tuwim. Końca tego dnia nie pamię- tam. Pamiętam początek na- stępnego.

Niesamowite wrażenie o- garnia mnie zawsze, ilekroć słyszę z płyty głos Gałczyń- skiego. Człowiek dawno nie żyje — głos jego żyje, prze- kazany nam wiernie przez technikę. Zaczynam uwiel- biać technikę, technikę w służbie jej nieśmiertelności — oto ona jedna, technika, ocala nas od zapomnienia, utrwała i zwraca światu na- istotniejszą część naszego człowieczeństwa — żywy nasz głos, jego brzmienie, jego barwę, jego treść!

Słyszę żywy, tak dobrze mi znany, głos Gałczyńskie- go, jakby on sam był gdzieś w pobliżu, gdzie obok. Nie- samowite wrażenie rośnie, prowokuje do niepoetyczal- nego krzyku: „Kostek, wari- cie! Nie kryj się, daj rękę, chodźmy do „Wróbla!” I wy- daje mi się, że głos z płyty nagle się urwie i po chwili zamiast recytacji rozlegnie się z niej wołanie: „Koniak! Trzy gwiazdki! Całą butlę! Całą butlę! Całą butlę! Evvi- va!”

I już nie słyszę płyty, bo przysmak nabrzmiałe po- wieki...

JAN HUSZCZA

MAŁY KORESPONDENT ZAGRANICZNY



Jesienią, jak co roku, odlatują plaki i odbywają się wycieczki, a w naszej prasie daje się zauważyć nasile- nie felietonów, korespondencji i szkiców z wypadów i wycieczek zagranicznych.

Ponieważ nigdzie, jak co roku, nie byliśmy za granicą, przeło mieliśmy czas na to, aby usystematyzować to wszystko, co takie felietony, korespondencje i szkice najczęściej przynoszą.

Poniższe opracowanie uwzględnia jedynie najchętniej odwiedzane kraje, z których też najwięcej otrzymujemy drukowanych relacji.

Inne kraje dopiero znajdują się w stadium „rozpraco- wywania”... Zachowujemy tutaj, rzecz jasna, porządek alfabetyczny, ułatwiający orientację zarówno ewentual- nym korespondentom, jak i czytelnikom.

ANGLIA: Londyn, pierwsze trudności w orientowaniu się, kolejka podziemna, Anglię rozwiązując w jej wago- nach krzyżówki. Światła na Piccadilly; mgła; Hyde Park; slumsy; gdzieś tam polscy emigranci; rugby i kregle. Entuzjazm dla polskich filmów i polskich wódka. Handlu- jący rodacy z wycieczki.

AUSTRIA: Wiedeń, miasto walców. Modra wstęga Du- naju. Lzy starych Austriaków na wspomnienie Francisz- ka Józefa. Tu i ówdzie Alpy na horyzontach. Rozmowa z szoferem taksówki o Sobieskim. Duże zainteresowanie Śl. J. Lecem. Handlujący rodacy z wycieczki.

BULGARIA: Olejki różane, sliwownia i Marica. Obiad w Płowdiwie: kaszka, kebabczeta i kiuffeta. Natar- czywe pytania o Basie Kwiatkowską. Pożegnania: „Do- widzenia w Polsce!” Handlujący rodacy z wycieczki.

CZECHOSŁOWACJA: Złota Praha! Włtawa, porządek, knedle. Szofer taksówki, pytający o wiersze Grochowi- ka i Białoszewskiego. „Do widzenia w Polsce!” Handlu- jący rodacy z wycieczki.



FRANCJA: Notre Dame, kafejki i bistra, niedopałki na podłogach kawiarni; strip tease; clochardzi. Powszech- ny entuzjazm dla polskich filmów, polskich piosenek i opowiadań Brunona Schulza. Najłatwiej porozumieć się na migi. Handlujący rodacy z wycieczki.

GHANA: Jemny banany i ziemne orzeszki. W Akrze nowoczesne budownictwo obok lepiank i dziko rosną- cych Palm. W głębi kraju są jeszcze podobno ludźdzy. Przepaski na czarnych biodrach jakby toczonych z he- banu. Wszędzie Murzyni, budzący się z politycznego us- pienia. Nagabywania o malarsko Kantora i Nowosiels-kiego. Handlujący klipsami rodacy z wycieczki.

SZWECJA: Mężczyźni bez temperamentu. Co krok to niedopieczona Szwedka o długich, pięknie modelowa- nych nogach! Sztokholm to miasto europejskie. Flordy. W restauracjach system szwedzki: jedno danie jedna wódka! Handlujący rodacy z wycieczki.

WĘGRY: Papryka, czardasz, dobra kawa przy muzyce, pomnik naszego Bema w Budapeszcie! Rozmowa z szoferem taksówki o zespole „Ślask”. Pustka w mglistej dali. „Do zobaczenia w Polsce!” Handlujący rodacy z wycieczki.

WŁOCHY: Najłatwiej porozumieć się na migi. Gołębie na placu św. Marka w Wenecji. Gondolier śpiewa pio- senki z repertuaru „Mazowsza”. Ruiny Colosseum w Rzymie. Południowy temperament Włoszek, upały i spa- ghetti. Pytania o Basie Kwiatkowską. Szofer taksówki recytuje wiersze Gałczyńskiego. Handlujący rodacy z wy- cieczki.

ZSRR: Moskwa, rzucająca się wszędzie w oczy czys- tość; narzan i uniwersmagi. Cerkiew Wasyla Błażennego i zawieszte zupy. Zainteresowanie dla obrazów Matejki i teatru Skuszanki w Nowej Hucie. Kreszczatik w Ki- jowie to taka długa ulica. Szofer z taksówki mówi po polsku. Stillagi i mrożonki. Papierosy „Kazbek” i „Trojka”. Handlujący rodacy z wycieczki.



Aleksander Konicki

MUZYKA

w LISTOPADZIE

Omawiając działalność Fil- harmonii Łódzkiej w ubie- głym miesiącu pominieliśmy jeden występ, który, choć nie odbywał się w sali przy- ulicy Narutowicza 20, miał naj- większą chyba liczbę słucha- czy. Chodzi o audycję tele- wizyjną na skalę ogólnopols- ką, w której orkiestra łódz- kich filharmoników pod dy- rekcją Stefana Marczyka wy- konała suitę Edwarda Griega „Peer Gynt” osnutą na dra-

macie Ibsena. Poszczególne części utworu powiązane zo- stały tekstem poetyckim re- cytowanym przez Mieczys- ława Voita.

Przejdźmy jednak do re- gularnych koncertów symfo- nicznych w miesiącu listopa- dzie. Zaczęło wypadać od go- ści zagranicznych i przy tej okazji wyrazić wdzięczność czynnikom, które sprawiły, że rozdział krajowy był tak łaskawy dla Łódzi udostęp- niając nam możliwość zoba- czenia Ojstrachów i Ringei- sena. Słyszeliśmy „na żywo” Dawida Ojstracha to rzadka rozkosz dla każdego melo- mana. Światowa krytyka nie waha się nazywać radziec-

kiego skrzypka „największym z największych” naszych cza- sów, a przecież za współ- czesnych sobie ma on Hei- fetza, Menuhina, Sтерна, Mil- steina i jeszcze paru innych tej miary. Z programów wie- my o ogromnym sukcesie, ja- kim stało się przed dwoma laty amerykańskie tournée Oj- stracha. Ostatnio wielki wirtu- toz odbywa podróże arty- styczne razem ze swym syn- nem Igorem, świetnym skrzyp- kiem, znanym zresztą dobrze w Polsce (laureat Konkursu im. Wieniawskiego). W marcu br. obaj artyści dali dwa koncerty w Paryżu, gdzie to- warzyszyła im orkiestra Ra- dia i Telewizji Francuskiej.

Wielka sala Pleyela wyprze- dana była dokumentnie na długo przedtem, a przyjęcie „króla Dawida” i „księcia Igora” przez przyznan entuz- jastyczne. I oto 21 listopada Łódź doczekała nadzwyczaj- nego (pod każdym względem) koncertu, w którym Dawid i Igor Ojstrachowie wystąpili jako soliści przy akompania- mencie orkiestry Filharmonii Łódzkiej pod kierown. Stefana Marczyka. Na program zło- żyły się: Koncert na dwoje skrzypiec d-moll Bacha, Szy- manowskiego i Koncert skrzypcowy (Dawid) oraz Koncert D-dur Brahmsa (I- gor). Po wielokroć wywoły- wani przez audytorium ar-

tyści zagraли jeszcze na bis fragment z sonaty Prokofie- wa na dwoje skrzypiec, i z towarzyszeniem orkiestry „Ta- niec hiszpański” Sarasatego. Sala naszej Filharmonii daw- no już nie oglądała tylu żarliwych i cierpliwych słu- chaczy zadowolających się miejscem stojącym.

Jeszcze jeden z listopado- wych koncertów zgromadził w piątek i sobotę komplet na widowni. Ulubieniec pol- skiej publiczności, Bernard Ringelsen, jeden z czołowych pianistów francuskich młode- go pokolenia, odegrał z łódz- ką orkiestrą III Koncert Pro- kofiewa (wielki kompozytor radziecki przebywał w latach dwudziestych w Paryżu i zo- stawiał tam żywe tradycje wy- konawcze tego właśnie ut- woru). Sztuka Ringelsena, świadectwo głębokiej kultury muzycznej i całkowitego o- panowania klawiatury, świe- ciła triumfy na tym koncer- cie. Bisując utworami Chopi- na pianista przypomniał nam

czasy, kiedy to oklaskiwa- liśmy go jako uczestnika i laureata Konkursu Chopinow- skiego 1955. Również i temu soliście akompaniowała orkie- stra prowadzona przez Ste- fana Marczyka.

Kierownik artystyczny na- szej Filharmonii: przygotował też wykonanie estradowe wielkiej opery Musorgskie-

go „Borys Godunow”. W montażu fragmentów tego dzieła powiązanych narracją przez Janusza Cegielę solistą był znakomity bas (a zara- zem reżyser Opery Łódzkiej) Antoni Majak.

Nie była to jedyna w Fil- harmonii produkcja wokalna ubiegłego miesiąca. Jako so- lista ostatniego koncertu „piątkowego” wystąpił An- drzej Hiolski — baryton, wy- konując cykl utworów Tade- usza Bairda do słów Szeks- pira „Cztery sonety miłosne”. Dyrygent, Jerzy Semkow przedstawił nam tego same- go wieczoru „Eroikę” Beet- hovena. Mamy już więc za sobą trzy pozycje z zapowie- dzianych 9 jego symfonii.

Gościł muzycznej Łódzi byli w listopadzie również młodzi chłopcy z Poznania, tworzący pod kierownictwem Jerzego Kurczewskiego Po- znański Chór Chłopięcy. Pro- gram zawierał utwory Bacha na chór, a cappella czyli bez towarzyszenia orkiestry, a uzupełniały go tzw. „Wariac- je Goldbergowskie” tegoż

kompozytora w wykonaniu pianistki Aleksandry Utrecht. W jedną z sobót miesiąca sala Filharmonii stała się przybytkiem muzyki lżejszej: gajnkowo, a sądząc z ty- tułu „I Koncert Rozrywkowy” będzie takich imprez więcej. Niestety, nie wchodzi ono

ani w kompetencje ani zain- teresowania piszącego te sło- wa.

Z zadowoleniem stwierdzić musimy, że posłuchać dobrej muzyki wprost, bez pośred- nictwa płyt czy radia można w Łodzi nie tylko w Filhar- monii. Co jakiś czas organi- zowany bywa przez Łódzki Oddział Stowarzyszenia Pol- skich Artystów Muzyków kon- cert kameralny, o czym za- pewne wie jedynie bardzo ograniczony krąg zaintereso- wanych choćby potencjalnie osób (słaba „publicytność”). I tak ostatnio miało miejsce wykonanie utworów dawnych kompozytorów polskich (wiek XVII-XVIII) przez śpiewaczkę Lidę Skowron, Łódzki Kwartet Smyczkowy (w skła- dzie: Z. Hodor, T. Bartosiak, Zb. Frieman, J. Kubiak) i B. Pietrzaka — organy.

Słuchać muzyki organowej można też było na recitalu Mirosława Pietkiewicza w kościele ewangelickim (u zbiegu ulic Piotrkowskiej i Czerwonej).

Łódzkie Towarzystwo Mu- zyczne organizuje w ŁDK „biesiady muzyczne”. W pierwszej z nich wziął udział znakomity wiolonczelista Ka- zimierz Wilkomirski, wysta- wiając prelekcję o literaturze i wykonawstwie wiolonczelo- wym. Nastąpić mają dalsze spotkania tego typu.

str 8 odgłosu

Z okazji „Kwiatu Hawai” trzy razy o Operetce

Patrząc z widowni

Lubimy operetkę, oj, lubimy — wystarczy spojrzeć na wskaźniki frekwencji. Ale operetka operetce nierówna. I widz widzi.

Coraz częściej w wyszlachowanych krzesłach dawnej „Lutni” siadają ludzie, którzy nie bardzo chcą, aby z udaną powagą opowiadać im o miłosnych przewagach szaluputnych markizów i baronetów. Cóż robić jednak, gdy interesujące, albo przynajmniej barwne i melodyjne tworzywo muzyczne opatrzone jest librettem tak mialkim, że aż rozrypuje się w rękach? Spójrzcie filuternym wzrokiem na afisz „Kwiatu Hawai” — trzech panów pisało libretto, trzech innych pracowało tłumaczyło, a jeżeli rzecz ukaże się na scenie, to tylko gwoli muzyki Abrahama...

Przerabiać libretto? A, nie wolno, prawa autorskie są przecież u nas chronione. Można oczywiście coś dopisać, można to i owo przemienić, ale sama fabuła, sam pomysł (Boże!) musi zostać w zasadzie nienaruszony. I jedno jest chyba tylko wyjście, jeden ratunek — rewia. Rewia z girlsami i schodami, z feerią świateł, barwnością kostiumów, natręctwem szlagierów, a przede wszystkim z tempem, tempem, tempem!

Amerykański musical, gatunek tak barwnie i bogato kwitnący na Broadwayu, śmiało zabierający się nawet do muzycznych przeróbek „Pygmaliona” Shawa, tym się między innymi różni od operetki, że głos niemal decydujący ma w nim choreograf. Operetka była przede wszystkim śpiewana, potem grana, a dopiero na koniec tańczona, przy czym tańce — to przede wszystkim tak zwane „wstawki baletowe”, numery wprowadzane na scenę z okazji rozmaitych przyjęć u rozmaitych operetkowych osobistości. W musicalu odwrotnie — tu przede

wszystkim się tańczy, przede wszystkim szuka się plastycznych i choreograficznych rozwiązań poszczególnych scen. Chyba tak jest lepiej, rozsądniej.

A obok musicalu jest przecież rewia. I tam, gdzie rzeczy opowiedzieć się nie da, bo rozpaczna bzdura bucha aż pod niebiosa, można ją wytańczyć i wyśpiewać. Rozbić akcje, przestać dążyć o to nawet, aby poszczególne jej nawroty wyraziście docierały do widowni, a nastawić się przede wszystkim na ruch, na agresję barw, na to wszystko, co wzrok przyciąga.

Tak właśnie chcieli realizatorzy zrobić „Kwiat Hawai”. Czy zrobili, to już sprawa inna i nie na tym miejscu będziemy ją osądzać, założenie było wszelako najzupełniej jasne. REWIOBAJKA, oto czym miała być ta operetka opowiadająca z dość nierzadą powagą, jak to Hawaje utraciły niepodległość, ponieważ śliczna księżniczka zakochała się w amerykańskim oficerze...



Garderoba. W garderobie — Hanna Dobrowolska

Patrząc z dyrektorskiego biurka

Niewątpliwie ambicja to ładna rzecz. I niewątpliwie jest dowodem ambicji bądź wyszukiwaniu pozycji współczesnych („Kiss me Kate” Fortera), bądź wystawianiu dużych i trudnych operetek klasycznych („Orfeusz w piekle” Offenbacha), bądź wreszcie realizowaniu utworów o charakterze wielkiego i barwnego widowiska muzycznego („Boccaccio” Suppého, „Król włóczęgów” Frimmla).

Ale ambicja kosztuje. Spektakle tego typu nie tylko wymagają ogromnych nakładów finansowych, ale w dodatku są wielką niewiadomą — „Król włóczęgów” poszedł wprawdzie 120 razy przy niemal pełnej widowni, ale już doskonale zrobiony przez Romaną Sykałę (reżyseria) i Mikołaja Kopińskiego (choreografia) musical Portera („Kiss me Kate”) spotkał się z chłodnym przyjęciem widowni. Stąd na ambicje trzeba zarobić, a zarabia się — właśnie Abrahamem. „Kwiat Hawai” to pewniak kasowy i gdyby nie dewizy (musimy płacić spadkobiercom nie na zasadzie pokrewieństwa, a na zasadzie wykupienia praw autorskich) spektakl mógłby iść diabli raczka wędzić jak długo. A tak pójdzie prawdopodobnie do końca lutego, ustępując miejsca „Perfumom paryskim” Offenbacha — z jakimkolwiek przyjęciem nie spotkałaby się ta interesująca pozycja, Abraham i tak na nią zarobi.

Oto założenie pierwsze: przepięknie repertuaru, wystawianie pozycji „po linii kasowej” (choć — oczywiście — w miarę silniej) i „po linii ambicji”. Stary, choć zawsze dobry, chwyt — w dwudziestolecie stosowali go wszyscy dyktorzy z Szymanem na czele.

Założenie drugie: należy sprowadzać jak najwięcej wybitnych dyrygentów, reżyserów i choreografów. Nie ograniczać się stale do jednego i tego samego nazwiska, choćby najlepszego. Stąd operetki przygotowywali muzycznie Rohdan Wodiczko i Karol Stryja, stąd gościnnie reżyserowała Danuta Baduszkowa, stąd choreografię opracowywali Mikołaj Kopiński i Feliks Parnell.

Zaś obsadę realizatorską „Kwiatu Hawai” stanowią: MIECZYSLAW KRZYŃSKI, wybitny dyrygent, przez dłuższy czas dyrektor operetki szczyńskiego. Jest zdania, że nie ma w zasadzie złych orkiestr, są tylko złe dyrygenci. Bardzo lubi Abrahama, uważa, że wyprzedzał muzycznie swój czas i miał szalony talent do komponowania szlagierów, choć trafiał się w jego muzyce i partie mniej ciekawe.

ZOFIA WEISSOWNA, w jednej osobie tancerka, aktorka dramatyczna i śpiewaczka, reżyserująca i występująca w operetce krakowskiej. Zapalona zakochana w operetce. Trzeba ją widzieć na scenie pokazującą na przykład baletowi, jakby to można było zatańczyć...

MIKOŁAJ KOPIŃSKI, choreograf z ogromnym dorobkiem, ostatnio dużo pracujący dla operetek i to najczęściej wspólnie z Weissówną. Na swój sposób do niej podobny — też zakochany. Kiedy uparł się, że wystawi Straussa (STRAUSSA!) bez jednego walcowego pas. Wystawili!

BOLESŁAW KAMYKOWSKI, scenograf, czuje operetkę jak rzadko kto (a to niełatwe...), komponuje pyszne kostiumy i w ogóle jest duża klasą. Zrezy — zobaczcie sami.

Patrząc spoza kulis

Brawa, oklaski, zapewne miła to rzecz — a proszę, o dźwięk, aktorzy Operetki (przynajmniej niektórzy) bez większego entuzjizmu patrzą na nową premię. I nie dlatego bynajmniej, aby im się praca reżysera nie podobała, nie dlatego, że w tych, a nie innych, obsadzono ich rolach...

A przecież oklaski i mają gwarantowane, przecież „Kwiat

I jeszcze jedna, bardzo ważna, sprawa zza kulis. Operetka, kosztowny ogromny wysiłek, wymienia znaczną część chóru i znaczną część baletu. Nie było skąd brać w pełni kwalifikowanych ludzi, więc brało się na polu surowych. Jeszcze nie wykonawców, a materiał.

Trzeba było wielu godzin prób, nauki solistów prowadzonej przez dyrektora Krzyń-



Jadwiga Kenda — kierownik artystyczny Operetki i Zofia Weissówna — reżyser „Kwiatu Hawai”

Hawai” na pewno będzie się podobał. Więc?

Rzecz w tym po prostu, że aktorzy niejako „zepsuci” interesującymi muzycznie, ambitnymi i trudnymi utworami w rodzaju „Boccaccio”, nie bardzo już chcą powracać do pocziwanych bzdurek, do owego uroczego przebiegania się za chińskie księżatki, do baletowych nieporozumień na zasadzie „tatuś nie poznał córki, bo włożyła nowe rękawiczki”. Mają dosyć. Rozumieją oczywiście, że pozycje bardziej kasowe są potrzebne, ale prywatnie nie czują do nich najmniejszego entuzjazmu.

To chyba dobrze. To chyba znaczy, że mamy już innych aktorów, niż mieliśmy przed laty i — wierzmy — za kilka czy kilkanaście lat następnych będziemy już mieli inną publiczność.

skiego, żeby chór zaczął śpiewać, ba, żeby jedną pozycję mógł wykonać a cappella!

Reżyser trochę go rozruszał. Chyba jeszcze nie dostatecznie, chyba wiele jeszcze wody upłynie i wielu reżyserów odwiedzi nasze miasto, zanim każdy z członków chóru potrafi swobodnie i bezbłędnie zachować się w każdej sytuacji scenicznej — pierwszy krok został wszelako zrobiony.

Podobnie z baletem. Balet to sztuka dość bezlitosna, czas eliminuje tancerza z artystycznego życia szybciej, niż kogoś innego. Te dziewczęta — powiedzmy: girlsy — które przyszły na miejsce starszych, niebrydki są mądze i długonogie, ale potrafią jeszcze niewiele! Czy się nauczą i kiedy? Kiedy będzie miały balet z zupełnie prawdziwego zdarzenia?



Anita Nikitin w roli uroczej Hawajki



Po prostu: girlsy



Perspektywy na rok 1962

48 numer „Radia i Telewizji” przynosi sprawozdanie z obrad Rady Programowej Komitetu do Spraw Radia i Telewizji, które odbyło się 13 listopada br., a dotyczyło przede wszystkim planów na rok 1962. Podajemy w skrócie najważniejsze informacje i wypowiedzi dotyczące telewizji.

Televizja przy swoim obecnym stanie technicznym osiągnęła maksimum wydolności, tak że program w roku przyszłym nie ulegnie rozszerzeniu.

Przewidywane są poważne zmiany w Dzienniku Telewizyjnym. M. in. wzbogaci się on o poważne ilości materiału filmowego.

Prezes Sokorski przyznał, że telewizja nie potrafiła nawiązać bliższej współpracy z literatami, szczególnie jeśli chodzi o Teatr Telewizyjny, na co złożyły się również trudności natury finansowej. (W tonie niemal alarmującym pisaliśmy o tym wiele razy — przyp. Red.).

Wysunięto propozycję, aby dwa z czwartków rezerwowanych na „Kobry” przeznaczyć na teatr popularny, zaznajamiający widzów z cenniejszymi utworami literatury krajowej i zagranicznej. Termin poniedziałkowy nadal przeznaczony byłby dla widowisk mających często charakter poszukiwań i eksperymentu.

Red. L. Woyciechowska z „Expressu Wieczorne” zastanawiała się nad przyczynami, dla których telewizja nie dba o reklamę własnego programu i często do ostatniej chwili nie potrafi dostarczyć informacji o zaplanowanych pozycjach. (Oj, święta prawda — przyp. Red.).

Adam Hanuszkiewicz — naczelny reżyser TV — zwraca uwagę, że u podstaw niedostatków artystycznych programu stoi w znacznej mierze fatalny stan bazy technicznej. Mówił również o niewystarczającym zapleczu aktorskim, przeciążeniu pracą wybitniejszych indywidualności, wreszcie niskich

stawkach, które przy specyfice pracy zbliżonej do filmowej, są od stawek filmowych o kilka bądź nawet kilkanaście razy niższe.

Dyrektor programowy TV J. Pański zapewnił zebranych, że szczególnie w zakresie programów publicystycznych i rozrywkowych nie ustaje się w poszukiwaniu nowych form i konwencji artystycznych. Dodał również, że pewne ulepszenia techniczne są na najbliższe lata przewidziane.



Reportery w deszczu

Ci co recenzują audycje telewizyjne także są dziennikarzami znającymi więc co nie co ten wspólny warsztat. Niewątpliwie do rzeczy najtrudniejszych zaliczyć należy przeprowadzanie wywiadów z ludźmi przypadkowymi, wywiady robione na żywo, od razu przekazywane na antenę radia czy telewizji. Ta forma pracy wymaga od dziennikarza rutyny i giętkości wręcz doskonałej. Kolega z prasy zbiera sobie materiał dniami, albo i tygodniami, segreguje, układa, uzgadnia, ma czas na przemyślenia, na znalezienie pomysłu lepszego niż poprzedni. Dziennikarz radia, reporter z przybocznym magnetofonem również ma więcej czasu, może z nagranych materiałów wybrać rzeczy najlepsze, z paru godzin taśmy zmłotować dwadzieścia minut samego smaku, i jeszcze okraszyć go efektem muzycznym, czy dźwiękowym „wgrać” komentarz itd. A cóż biedny telewizjonista? Stoi tam na placu przed łódzkim wieżowcem, kłóci się z mikrofonem, żeby go ciekawcy nie stracali, łapie ludzi za rękaw i pyta jakie mają kłopoty? Na co może liczyć? Czy ktoś na ulicy powie mu, że żona odeszła i zostawiła go z dzieckiem, że szef go „niszczy”?

Przechodząc będzie mówił o trzech sprawach na pewno o łódzkiej komunikacji, o trudnościach w nabyciu ładnych mebli i o zaopatrzeniu w żywność. Tak sobie powiedzieli realizatorzy piątkowego magazynu „Spojrzenia i opinie” i tak przygotowali odpowiedzi w podsumowaniu audycji. Tymczasem rozmówcy sprawili niespodziankę: pan Sawiuk narzekał na brak bućków dziecięcych, inna pani, że w sklepach nie ma rajtuzów i czapek dla dziecka. Pan Kulik mówił o swym małym mieszkaniu na poddaszu i że się niepokoi, bo żona niedługo powieje potomka, milicjanci Wiśniewski i Matusiak narzekali, że łodźianie skaczą do tramwajów, że kierowcy nie szanują pierwszeństwa przejazdu i białych pasów dla pieszych. Kierownik sklepu samobsługowego przy ul. Narutowicza 16 skarżył się na kradzieże dokonywane przez klientów, wreszcie najlepszy kłopot wieczoru, jeśli można tak powiedzieć, miał uczeń III Lice Ogólnokształcącego im. T. Kościuszki.

— Proszę pana — powiedział — to że nie ma 100 kartkowych brulionów, choć od nas tego wymagają nauczyciele, mogą jeszcze przeboleć. Ale, że od siedmiu lat budują przy naszej szkole kryty basen pływalni i końca tej budowy nie widać, tego nijak pojąć nie mogę!

Audycja była pomyślana w ten sposób: reporterzy pogadają z ludźmi na ulicy, a na koniec przedstawiciel władz miasta mgr Torzewski i red. Mojkowski udzielą odpowiedzi, wyjaśnią i skomentują jakoś poruszone problemy.

Jak już powiedzieliśmy na wstępie rozmówcy sprawili komentatorom pewną niespodziankę. O komunikacji w sensie jej niedomogów nie mówił nikt... O braku mięsa, drobiu i owoców południowych też nie wspomniiano. A na takie tematy mówili później komentatorzy...

Kłopoty łodźian, w świetle tej audycji nie okazały się wbrew oczekiwaniom zbyt wielkimi. Ostatecznie czapeczkę i rajtuziki, bućki dla Jasia, czy Hani tele-rozmówcy kupili jeszcze tego samego wieczoru nie w tym to w innym sklepie. A więc największy kłopot mieli ci co podsumowywali rozmowy tak, jak je sobie wyobrażali realizatorzy. Zakłopotani byli też telewizywiści, którzy nie uszyli odpowiedzi np. na ciekawe pytanie chłopca z III LO, dlaczego ten basen budują już siedem lat? Ludzie swoje, ojcowie miasta swoje.

Ci co recenzują audycje telewizyjne są jednak dziennikarzami i mają miękkie serca. Może po prostu nawaliło jakieś połączenie i komentatorzy nie słyszeli rozmów przeprowadzanych przez sprawozdawców? W końcu nie mamy o to zbyt wielkiej pretensji, jako że cała audycja w pomysł i nawet w realizacji była ciekawa i wyglądałaby wcale, wcale, gdyby nie wyluszczone potknięcia. Na szczególną pochwałę zasługuje praca kamer (Wojciech Król!). Po raz pierwszy zobaczyliśmy na ekranach „Łódź by night” i okazało się, że wygląda ona imponująco. Polysku dodały jej lampy rtęciowe, padający deszcz, okna wieżowca i światła samochodów.

TEATR ZA SZKŁEM

„HOTEL ASTORIA”

Przed premierą telewizyjną „Hotel Astoria” Aleksandra Szejna doczekał się w Polsce innej premiery — radiowej. Mogło to być wcale interesujące słuchowisko, bynajmniej nie wiele uboższe — mimo braku wizji — aniżeli wersja telewizyjna. Rzecz w tym, że w sztuce Szejna każda myśl jest dopowiedziana, wygłoszona do końca, że nie ma tu luk, pustych miejsc na fizyczne działania, czy wręcz odruchy bohaterów.

Ruch, gest, jest tylko poparciem słowa — bohater nalezający wodkę mówi „wypijemy”, bohater walący się z fotela mówi „trafił”, bohaterka upuszczająca flakonik wyjaśnia „perfumy”, ale zaraz dopowiada, poprawia się mówiąc „frucznia”.

Stąd i aktorzy i — w dalszej konsekwencji — operatorzy, a także reżyser, nie mieli zapewne zbyt łatwego zadania przenoszące na mały ekran dramat Szejna. Reżyser poszedł zresztą po prostu na relację, na opowiadanie — spokojny ruch kamer, niezbyt eksploatowane zbliżenia, prawie żadnych przebiegów,

prawie żadnych cięć montażowych mających nakierować uwagę widza na tę czy inną kwestię.

Stanisław Wohl skonstruował tedy widowisko kameralne, solidnie opracowane scenograficznie — również i w sensie solidności ustawionych mebli — poparte lukami wybuchów i świstem bomb. Wszystko jak trzeba, wszystko na swoim miejscu, prawie jak w teatrze. I gdyby sztuka była nudniejsza, bądź gorzej grana, otrzymalibyśmy spektakl w granicach zubożonej poprawności, raczej statyczny i mimo zauważalnych skrótów nieco przegadany. Na szczęście Szejna miał coś niecoś do powiedzenia o ludziach z hotelu „Astoria”, o ludziach z obłożonego Leningradu i w ogóle o ludziach z tych lat.

Z dość długiej listy wykonawców chciałbym wymienić przynajmniej trzy nazwiska: Henryka Baka (znakomity major Konowałow) Tadeusza Janczara i Janiny Traczykówny.

J. P.

Koncert nie do końca spełnionych nadziei

Nadal pozostajemy przy opinii wyrażonej już przed tygodniem: idea koncertów rozrywkowych w TV zamawianych i organizowanych na zlecenie zakładów pracy, dobra jest i należy ją chyba podtrzymać.

Ostatecznie nie jest to idea czysto telewizyjna — mamy w tej mierze doświadczenia radiowe, w ten sposób rodzą się przecież radiowe „Programy z dywanikiem”, operujące przede wszystkim w środowisku robotniczym, w ten sposób rodzi się „Wesoły autobus” obliczony na środowisko wiejskie, ba, w ten sposób urodził się niedawno „Podwieczorek przy mikrofonie”. Koncerty montowane na zasadzie „dla każdego coś miłego” starają się wszelako podejmować również i konkretne problemy poszczególnych środowisk, znajdują miejsce na błyskawiczne wywiady z ludźmi z tych środowisk i tak dalej i tak dalej — są, jak zawsze, lepsze bądź gorsze, ale mają już dość jasno sprecyzowany model.

Pierwsza telewizyjna próba nie zachowała niestety tej klarowności — kilka rozmów, między innymi z pośłem Spychalskim, wydawało się trochę doczepionych do koncertu, skocz Więcha daleki był od średnich choćby tekstów popularnego, ale niezbyt może eksploatowanego autora, zadedykowanie włóknarzom zgrabnej skądinąd piosenki „Pan w akşamnim berecie” też jeszcze niczego właściwie nie ułatwiała.

Jeżeli można ryzykować postawienie diagnozy, to podstawowym błędem było oparcie całości koncertu na importowanych gwiazdach — niechby i pierzesz wielkości — oraz na importowanych tekstach rozmaitej klasy. Jest koniec końców jakimś paradoksem, że łódzka autorsko-aktorska ekipa „Programów z dywanikiem” może przygotowywać i stale przygotowuje programy na eksport, natomiast gdy łódzka TV zmłotowała program, rodzimi autorzy i aktorzy (Skoczylas, Jaroszyńska itd.) wydali się jej zbyt mało atrakcyjni...

Nie mamy zamiaru zbyt długo i zbyt szczegółowo deliberować nad większymi i mniejszymi błędami wspomnianego programu, przemilczymy również to, co było w nim dobre i udane. Chodzi nam nie o detale, a o sprawy generalne. Te sprzeczają się do dwóch zasadniczych punktów: warto robić koncerty tego typu i byłoby szkoda, żeby sama myśl przepadła już po pierwszej próbie.

robić je jednak należy starannie i z dokładnym rozważaniem, do jakiego środowiska chce się dotrzeć, rościć opierając się przede wszystkim na łódzkich autorach (jeśli telewizja łódzka zdoła odzyskać ich zaufanie) i w miarę sił na łódzkich wykonawcach, gdyż wówczas

montowanie programu może trwać odpowiednio dłużej i odbywać w mniej nerwowej atmosferze.

Za doświadczenia trzeba płacić i znaczna część kosztów została chyba w ubiegłym

czwartku uiszczona. Przy następnym programie sprawdzimy czy i czego nauczyli się realizatorzy.

(CZ)



Bożena Grabowska



Więcha i Bielenia w skeczu



Wiesława Drojecka



Brygada techniczna planu, Jachówna i Margas w duecie

Redaguje Zespół * Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79 * Warunki prenumerat: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— * Redakcja nie zamawia rekwizytów pocztowych, listonoszy oraz PUPK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Ogłoszenia” * Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17 * Zam. 3400.XI L-12

PROGRAM na najbliższe dni

CZWARTEK, 7 BM.

10.00 — Program dla szkół: język polski: „Szekspr” — z cyklu „Dzieje dramaturgii” (dla klas licealnych) (W). 10.30 — Przerwa. 16.50 — Program dnia (L. lok.). 16.55 — „Poletko pana Polaka” — program z cyklu „O wsi dla wszystkich” (L. ogólnop.). 17.25 — Program dla dzieci: „Zrobimy to sami” (W). 17.40 — Widowisko dla młodzieży: „Serce” Amicisa (mont. literacki). Adapt. — Jan Zaleski, reż. TV — A. Konic (W). 18.30 — Gdańskie gawędy — program regionalny w oprac. E. Milewskiego (Gdańsk). 18.55 — „Inna miłość” — program publicystyczny K. Lubelczyka z cyklu „Kartki z naszej historii” (W). 19.30 — Dziennik telewizyjny (W). 20.00 — „Król dekwetywów” — film fabularny prod. USA kryminalno-sensacyjny doz. od lat 16 (W). 21.10 — Ostatnie wiadomości (W). 21.15 — PKF (W). 21.30 — „Chopin w Antoninie” — widowisko muzyczne (Poznań).

PIĄTEK, 8 BM.

17.00 — Program dnia (L. lok.). 17.05 — „Kryzys lotaryński” — program publicystyczny (L. lok.). 17.30 — „Propozycje” — młod. progr. publicystyczny (Poznań). 17.50 — „Znak Zorro” — odc. II filmu prod. USA (W). 18.15 — „Na półkach księgarskich” (W). 18.25 — Wzrost techniki TV: „Pamiętne dni” — program z cyklu „Nasz rodowód” (W). 18.55 — „Duch” — seans telewizyjny Andrzeja Kamińskiego i Mariana Marzyńskiego (W). 19.30 — Dziennik telewizyjny (W). 20.00 — „Spojrzenia i opinie” (L. lok.). 20.30 — „Miłość powraca wiosną” — film fab. prod. radzieckiej (dowolony od lat 16) (L. lok.). 21.30 — „Do rodziców i wychowawców” (W). 22.00 — Ostatnie wiadomości (W).

SOBOTA, 9 BM.

11.00 — Program dla szkół: geografia (dla klas VII): „Na wrocławskiej ziemi” — z cyklu: „Poznaj swój kraj” (W). 11.30 — Przerwa. 17.10 — Program dnia (L. lok.). 17.15 — Program dla dzieci młodzieży: „Miś z okienka” 2. „A co dalej?” 3. Książki dla najmłodszych (W). 17.45 — „Klub Myski Miki” — film (W). 18.30 — Program tygodnia (W). 18.45 — Program tygodnia (L. lok.). 19.00 — „Pegaz” — pod redakcją Grzegorza Lasoty — magazyn kulturalny (W). 19.30 — Dziennik telewizyjny (W). 19.55 — „Odwiedźmy prezydenta” — film fabularny prod. polskiej doz. od lat 14 (L. lok.). 21.30 — „Budapeszteński śledztwo z podarkami” — program rozrywkowy z Budapesztu przez Katowice i Warszawę. 22.30 — Ostatnie wiadomości (W).

ZBIGNIEW NIENACKI

Wótek JUDASZÓW

Tego samego dnia Albert dowiedział się o śmierci „Niedźwiedzia”. Zabito go w pięć godzin od chwili ucieczki. Trupa znaleziono następnego dnia rano koło klasztoru w Dąbrowie. Na koszuli „Niedźwiedzia” leżała przyszpiloną kartka: „Tak giną zdrajcy”.

W dwa dni później listonosz przyniósł Albertowi niewielki pakietek, nadany na poczeku i zaadresowany na nazwisko Raczyńskiej z dopiskiem „Dla majora”.

Wewnątrz paczuski znajdowało się piękne puzderko ze złotą „Doxą” oraz karteczka, na której wypisano na maszynie:

„Z podziękowaniem za „niedźwiedzia” przysługę” R”.

Wieczorem służąca Krychniakowej przyniosła dla Alberta krótki listeczek:

„Pan był świadkiem śmierci mego męża. Mam ośmioletniego syna, pragnęłabym bardzo, aby dowiedział się od naczelnego świadka, jak zginął jego ojciec. Proszę uwzględnić prośbę złamanej bólem kobiety i matki i odwiedzić nas dziś wieczorem”.

„Nie pójdę — pomyślał histerycznie Albert. — Świadkiem śmierci Krychniaka był również Sowa. Niech się do niego zwróci. Nie pójdę”.

A jednak jeszcze tego samego wieczora Albert odwiedził Krychniakową. Może ludzki się, że trafił tam na ślad, który zawiadza go tam, dokąd zdążył z tak wielką niecierpliwością?

— Papiery mego męża? Zabrali. Wczoraj zabrali — rzekła Krychniakowa. — Sześć Jaruga przysłał tu swoich chłopców, powiedzieli, że papiery mego męża będą teraz potrzebne jego następcy. Przeszukali biurko, szafy, wszystkie.

Przyjmowała Alberta w pięknym emprownym saloniku, zapewne zrabowanym z jakiegoś dworu. W dużej serwantce stało kilkadziesiąt porcelanowych filiżanek i dzbanuszków. To ich kruchosć miała podkreślić siłę Krychniaka — mały urzędnik z jakiejś gminy wcielił się w postać wielkiego pana. Na ścianie w grubych secesyjnych ramach wisiała jego powiększona fotografia, na stylowym stoliku leżały angielskie fajki i złożony dzbanuszek z tytoniem.

Smutek uczynił urodę Krychniakowej bardziej subtelną. Czarne smugi pod oczami w zupełnie białej twarzy, nadawały jej wyraz tragizmu. „Nikt nie widział prawdziwej piękności, kto nie oglądał jej w chwili cierpienia” — przypomniało się Albertowi zdanie jakiegoś filozofa czy poety.

Dziecko Krychniaków odziedziczyło urodę po matce. Był to śliczny chłopiec o delikatnych rysach i kędzierzawych włosach. Przywitał się z Albertem pełen powagi.

— Znajdowaliśmy się w gmachu otoczonym przez bandy — powiedział panu Albert. — Strzelano do nas z ulicy, z okien i dachów sąsiednich domów. Rozkazano nam, mnie

i twojemu ojcu, żebyśmy z karabinem maszynowym wydostali się na taras i stamtąd razili wroga. Bandyci ostrzeliwali taras. Szaleństwem było próbować się tam dostać. Balem się, lecz twój ojciec chwycił RKM i nie zwracając uwagi na kule wycofał się na taras. Dosięgli go jednak. Zginął jak żołnierz w walce.

Chłopiec skłonił się grzecznie i wyszedł do saloniku. Krychniakowa miała łzy w oczach. Alberta zaś dusił gniew.

— Nie mogę uwierzyć w jego śmierć. To jest zbyt straszne — szlochała.

— To jest całe szczęście, proszę pani — rzekł szepem Albert.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. W kątku miała kropkę łez.

— Ten, który go zabił, wyrządził wielką przysługę i pani, i waszemu synowi. Przecież mąż pani służył nie tylko w UB, ale i dla podziemia, dla Perkuna, a potem dla Rokity. Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa był już na tropie tej zdrady. Zginął — więc dochodzenie przerwano. Gdyby żył, zostałby aresztowany i skazany na śmierć za zdradę. Padł zaś jako bohater. To przecież lepsze i dla niego, i dla pani, i dla tego chłopca.

Uklonił się Krychniakowej i wyszedł z saloniku. Samotnie dobiegł do drzwi i opuścił jej dom.

„Lepiej, żeby się za mnie modliła, niżby mnie miała co dzień przeklinać” — pomyślał Albert.

Nazajutrz, późnym popołudniem zapukał Albert do domu Ramuzów. „A może jednak jest we mnie coś ze Złego Ducha? — zastanawiał się u zielonych drzwi. — Gdziekolwiek zawitam, idzie za mną śmierć?”

Ramuzówna wręczyła mu plik notatek w gabinecie swego ojca. Nie się w nim nie zmieniło od chwili, gdy Albert rozmawiał tu z profesorem Ramuzem. Złotawa firanczka kryła półki z książkami, na ścianach wisiały reprodukcje Grottgera, podłoga połyskiwała czystością. Żaden najmniejszy nawet ślad nie mówił, że właśnie tutaj zaledwie kilka dni temu, zamordowany został stary profesor historii. Jego notatki naprawdę nie były Albertowi potrzebne. Może nie były potrzebne nigdy?

— Kazał mi je przekazać panu. Wypełniłam jego wolę. Tyle tylko mogę jeszcze zrobić dla niego.

— Chciałem się zabawić w detektywa-historyka, wyjaśnić zagadkę zaginięcia „Kryształowego zwierciadła” Johna Dee. Zresztą, może mi tylko chodzi o to, aby upewnić się, że nie jesteśmy gorsi od tych, co byli przed nami?

— I jakież wysunął pan wnioski?

— Ach, to nie ma znaczenia. Najważniejsze jest, aby nawet na krótką chwilę nie przychodziło pani na myśl, że mogę mieć coś wspólnego z tragiczną śmiercią jej ojca.

Wiadomość o tragedii zaskoczyła mnie i wstrząsnęła. Czy wierzy mi pani?

— Wierzę — skinęła głową. Powiedział jeszcze kilka obojętnych zdań.

W Sądzie Powiatowym w R. rozpoczęła się rozprawa przeciwko dziewięciu członkom tajnej organizacji Rokity. Wszyscy oskarżeni schwytani byli z bronią w ręku w kilka godzin po napadzie na miasto. Odpowiadali także za zabójstwo Ramuza, Krychniaka i dziewięciu innych. Rozprawa toczyła się w trybie doraźnym, wynik jej nie pozostawał tajemnicą.

Albert nie interesował się przebiegiem procesu. „Niedźwiedź”, odpowiedzialny za śmierć Mikołaja — już nie żył. To samo czekało tych dziewięciu zasiadających na ławie oskarżonych.

Miasteczko jednak pasjonowało się tym, co odbywało się na sali sądowej. Po każdym dniu rozprawy do willi majorowej przychodziła Ligzówna, przejeżdżała i rozstrzęsiona. Przynosiła wiadomości nie tylko z sądu, ale i z lasu. Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego zaczęło realizować plan likwidacji oddziałów Rokity. W kilku gminach powiatu R. rozrzucono większe oddziały wojska i KBW, kolumny samochodowe przemikały po szosach i drogach. Tyraliery wojska czesały okoliczne lasy. Którejś nocy widziano przejeżdżającą przez R. kolumnę pancerną.

Koniec Rokity był oczywisty. Jeszcze się odgryzał, przychodziły wieści o jakichś krwawych masakrach po

— A ten angielski skończył? Czy nie dopomaga swemu wybaczy?

— To właśnie jest najdziwniejsze. Zupełnie jak by nie rozumiał ciężkiej sytuacji.

— Sądził pani, że on został tu zrzucony po to, aby pomagać Rokicie? Z pewnością ma na głowie ważniejsze sprawy i zadania. A może on nie chce zadawać się z glupcami? — rzucił niedbale.

Tego samego dnia po południu, na ulicach miasteczka rozlepiłono afisze o wyroku śmierci, jakie padły w sprawie dziewięciu członków leśnych oddziałów Rokity. Następnego dnia do willi majorowej Raczyńskiej przybiegła pani Ligza.

— Dziś o świcie wykonano wyrok. Rozstrzelano ich na podwórku więziennym — dzwoniła zębami o kieliszek z wódką, który jej podsunęła Raczyńska. — Zwłok rodzicom nie wydali, tłumacząc się jakimś specjalnym nakazem. Ciała załadowali na samochody i wywieźli gdzieś w nieznanym kierunku.

Wypita duszkiem następny kieliszek.

— Nasz architekt wstąpił do klasztoru — stwierdziła.

— Boże drogi! — krzyknęła ze strachem majorowa.

— Przez cały czas rozprawy nie opuszczał sali sądowej. Wreszcie zmógł go strach, może ma coś na sumieniu? Uciekł do klasztoru, będzie się modlił. Za nas i za siebie.

Ligzówna wypila siedem kieliszków wódki. Wyszła od majorowej prawie zupełnie pijana, zataczając się. Albert

był znak, na który czekał tyle dni.

— Jest mi pan potrzebny. Czekam w klasztorze.

Anastazja”.

Dopiero jednak nazajutrz o zmroku siostra konwerska wprowadziła Alberta do zajmowanej już kiedyś przez niego pustej celi. Mądrzejszy o lekturę zapisek profesora Ramuza zupełnie innymi oczami rozglądał się po brudnych ścianach. Tu przecież właśnie w klasztorze Norbertanek w Dąbrowie 12 maja 1585 roku, w drodze do nieplomickiego zamku nocował Łaski, Dee i Kelly. To gdzieś tu, może pod którąś z tych grubych ścian, stało „opalizujące tajemniczo „Kryształowe zwierciadło” i ustami zjaw mównico o podstępnej zbrodni. To gdzieś tutaj w połowie czerwca 1585 roku, gdy Dee i Kelley wracali do Pragi odbywszy z Batorem seans spirytystyczny — przepadło bezpowrotnie ich cudowne „Kryształowe zwierciadło”. Mistrz Dee kazał sobie w Anglii wykonać nowe i jeszcze dziś oglądać je można w British Museum.

I znowu maj. Dni upalne, jak w połowie lata. Takie dni przed prawie czterystu laty notował w swym diariuszu mistrz Dee.

Na dworze pośród starych grobów okalających drogę do klasztoru późny zmierzch łagodnie studiował ziemię zmęczonego skwarem. W ogrodzie klasztornym pachnia bzy, podniecająco działał ich duszny zapach. Z otwartych szeroko drzwi kościoła wywiewa zapach kadzideł po majowym nabożeństwie.

A w celi klasztornej wciąż jeszcze trwał chłód zimowy. Jak z grobowca ziało stęchlizna. Drewniany Chrystus na wielkim krucyfiksie zdął się być pokryty wilgocią pleśni. Wciąż to samo wyrok pod ścianą, garść starej słomy w sienniku, cisza i rzadki klekot sandałów na kamiennej posadzce krużganka.

— Proszę powiedzieć siostrze Anastazji, że przybył Albert — powiedział do konwerski.

— Ona już wie o pańskim przybyciu. Prosiła o chwilę cierpliwości. Przyjdzie tu niedługo.

Znowu wypadło czekać. Ze wstrętem wyciągnął się na sienniku, złożył ręce pod głowę, wzrok wlepił w zakurzona lampkę żarzącą się pod sufitem.

Jakimi słowy przyjmie go Anastazja? Co jej odpowie? Czy zechce go prosić, czy będzie rozkazywać. A co stanie się potem? To „potem” było tak niewiadome, a przez to i straszne, że Albert uciekł myślami w bezpieczną strefę przędzy Johna Dee.

... Gdyś podcas popasu w klasztorze Norbertanek w Dąbrowie — zanotował w swym „diariuszu” mistrz Dee — jedzieli razem po obiedzie, Łaski, Kelley i ja, rozprawiając o kilku sprawach, nagle nad głową Łaskiego po stronie Kelleya, ukazało się dziecko trzymające białą koronę. Usłyszałem głos:

— Audite victores estis. Poczem gdyśmy się zaczęli wpatrywać w kryształową tarczę, Kelley przemówił głosem ducha:

— Przywiódłem cię przed oblicze Stefana, oddam go tobie we władzę twoją... Czy żadasz abym przed obliczem twym zniweczył Stefana dla jego złości, czy chcesz, abym go „knał” tradem nieuleczalnym lub też pragniesz, abym go poprawił i pozwolił mu być twoim dobroczyńcą?...

Łaski prosił ducha o jedno. Aby w obecności Batorego duch przemówił po węgiersku. Niestety, jak stwierdza Kelley, duch zjawy nienawidził języka węgierskiego i przemówił do króla po łacinie.

Albert długo chichocze na przypomnienie tej sceny. Budzi w nim wesoły, pogodny nastrój, czekające go kłopoty i niebezpieczeństwa wydają się niegroźne. I zaraz nastrój ten ucieka spłoszony dzwonkiem sygnaturki.

„Dzwonią jak na pogrzeb” — wstrząsa nim dreszcz. — Na czyj pogrzeb?...

Uspokaja się myślą, że przecież na jego pogrzeb nie będzie nikt dzwonił.

Po chwili jakby spod ziemi wypłynął ponury, monotony głos, jednostajny gardłowy

promruk, w którym niekiedy wyraźnie rozbrzmiewa jakiś weret psalmów Dawidowych.

W krużganku załomotały podkate buty. Pukanie do drzwi celi. Albert zerwał się z wyrką.

Anastazja!...

Patrzył na nią zdumiony. Anastazja, która zjawiała się teraz w celi, zdawała się nie mieć nic wspólnego z tamą w białej szacie mniszki. Ta przypominała raczej kobietę z pociągą. W długich oficerskich butach na nogach, w luźnej spódnicy odsłaniającej kolana, w skórzanej lotniczej kurtce, pod którą był wełniany sweter i pistolet w kaburze uciepionej do szerokiego pasa. Włosy w nieładzie rzucone na ramiona, twarz o białej cerze mniszki, orli nos i drobne usta pociągnięte szminką.

— Wezwałam pana na życzenie Rokity. Proszono mnie, abym zapytała, czy nasi angielscy przyjaciele poczuja się choć trochę do obowiązku okazania mu pomocy. Chwila jest wyjątkowa, pan chyba wie o tym najlepiej. Myślę, że przybycie tutaj nie sprawiło panu zbyt dużego kłopotu.

Albert nachmurzył się.

— Pani zapomina, że jestem w tym kraju, wyraziłbym się, incognito.

— O, proszę być spokojnym. Dyskrekcja zapewniona — odparła z ironią.

— A poza tym...

— Poza tym? — podchwyciła.

— Dlaczego pani mówi: jemu, Rokicie. Wydaje mi się, że pomoc przede wszystkim potrzebna jest pani. Musi pani wyjechać za granicę.

Wzruszyła ramionami.

— Dlaczego właśnie ja, a nie Rokita, lub któryś z jego ludzi?

— Bo pani jest piękną kobietą — powiedział. Siedzieli na nędznym wykładzie. Jej obnażone kolana wabiły go znowu jak wówczas w podziemi.

— Ja już swoje życie przegrałam.

— On również.

Wstała gniewna z zaciśniętymi pięściami. Mówiła szybko, z odrobiną hysterii.

— Dopóki był silny, dopóki zwyciężał, dopóki wychylał się go przez radio i w waszych gazetach. Bo był wyjątkowy. Teraz zaś, gdy ponosi klęskę, zostawiacie go samemu sobie. Teraz jest niewygodny, bo trzeba mu pomóc, bo jest słaby.

Sięgnął do kieszeni po papierosy. Bawiła go ta rozmowa.

— Pani ma oczywiście rację — a odpowiadała ustami pełnymi dymu — Lecz nie wolno zapominać, że nie możemy poczuwać się do obowiązku względem ludzi, którzy nie byli wobec nas całkowicie lojalni. Mam na myśli osobę Perkuna. Doskonale znam jego rozkazy w których wyklinał emigracyjne „klikki” rzekomo kupujące krew jego ludzi. Próbowal samodzielnosci. Tę samą politykę stosował z początku Rokity.

Dopiero, gdy grozi mu zupełna zagłada, zaczął oglądać się za przyjaciółmi. Zresztą, to wszystko nie miało sprawa. Przecież ja, Polka, w innych celach. Oczywiście jest w Polsce człowiek, który mógłby pomóc Rokicie. Jestem w stanie umożliwić im wzajemny kontakt.

— Jeszcze dziś będzie pan rozmawiał z Rokitą.

— Tutaj?

— Nie.

Usiadła obok Alberta. Poprosiła o papierosa.

Albert szukał wzrokiem jej oczu. Tak, oczy miała zielonkawą, choć w bladym świetle żarówki wydawały się chwilami czarne, to znów niebieskie.

— Pani była żoną Perkuna?

— Drgnęła.

— Drgnęła.

— Drgnęła.

— Drgnęła.

— Drgnęła.

— Drgnęła.

— Drgnęła.

— Drgnęła.

— Drgnęła.

— Drgnęła.

Odgłosy

tygodnia

DYREKTORZY I RYBKI

Co ma rybka do dyrektora? Tyle samo co piernik do wiatraka. A nieprawda. Ma i to bardzo dużo. Rybka działa, rybka leczy, ergo — rybka może nawet uratować zagrożony przez różnego rodzaju nieprawidłowości — plan!

Tęgo rodzaju teorie czy hipotezy wysunięto na jednym z zebrań pewnego zjednoczenia przemysłowego, i... w kilku gabinetach dyrektorów fabryk zainstalowano... akwaria z rybami. Siedzą więc dyrektory, dumają nad planami, a jak co któregoś bardziej zeżli, to obraca się na fotelu i wpatruje się w rybki; w rybki-welony, złotodajki, czarunkki i pawie oczka.

I podobno — pomaga. Nerwy się uspokajają, głowy zaczynają spokojniej i logicz-

niej pracować! Rybko — metoda znajduje więc coraz więcej zwolenników i znam taką fabrykę, która rybki zafundowała wszystkim kierownikom wydziałów. Co ważniejsze — zakłócił ten kroczy na czele wszystkich zakładów w swej branży. Czyli — rybki pomagają!

A tak poważnie — z tymi rybkami to znów nie takie „śmichy-chichy”. Gdyż kojący wpływ na system nerwowy pluskających w akwariach rybek został odkryty i uznany naukowo oraz polecany jest przez instytucje zajmujące się problemami higieny pracy. Niech więc rybki zdobywają coraz więcej dyrektorskich gabinetów, pracownicy i instytucji i niech doczekają się prawomocnego etatu, aby dyrektory nie musieli głowić się, z jakich to funduszy należy uszczknąć, aby zapewnić im zdrową i długowieczną gościnę.

Technicznie-ślicznie!

Z satysfakcją obserwowałam konferencję na Politechnice Łódzkiej organizowaną przez Stowarzyszenie Włókienników. Poziomu merytorycznego wprowadzenia nie potrafimy ocenić (laikom „wpływ położenia środka uderzenia na pracę bidła” i inne skomplikowane rozwiązania z dziedziny badań maszyn włókienniczych — nie mówię), ale zachwyt budził poziom organizacyjny konferencji.

Po raz pierwszy w Łodzi zorganizowano własnymi środkami Politechniki wielojęzyczną radiofonie. 19 gości zagranicznych z instytucji i stowarzyszeń naukowych ZSRR, Bułgarii, Rumunii, NRD, CSRS, Jugosławii i Węgier słuchało każdego wystąpienia „na gorąco” w rodzimym języku.

Przy mównicy zaistniało dwa światła: zielone i czerwone. Pierwsze oznaczało — „stop — czekaj chwilę, aż tłumacz przetłumaczy”, drugie przypominało o wyczerpaniu 8-minutowego limitu przewidzianego dla każdego wystąpienia w dyskusji.

Tzw. rzutnik poma powiększał każdy wzór pisany przez referenta i udostępniał jego widok całej sali.

Niektórzy spośród 19 referentów demonstrowali skomplikowane aparaty używane przez nich przy pracy nad omawianym problemem.

Uczestnicy konferencji — ponad 400 osób, otrzymali kilkusetstronicowe broszury z wydrukowanymi referatami na długo przed rozpoczęciem obrad.

W ciągu kilkunastu godzin, już w trakcie trwania obrad przetłumaczono, wydrukowano wraz z rysunkami i dostarczono uczestnikom dwa referaty delegacji radzieckiej. Organizatorzy tłumaczyli je i „rozrysowywali” w nocy.

Tuż obok sali obrad „działał” bufet gdzie można było się posilić.

Dokładny minutowy program podzielony na 6 sesji był przestrzegany jak rozkład jazdy.

Od początku roku technicy przygotowywali technicznie tę techniczną konferencję. Stowarzyszeniu Włókienników, a szczególnie 9 członkom komitetu organizacyjnego — brawo!

DUSZA I MEBLE

Dwa razy do roku co bardziej estetyzujące dusze obywateli wzdane są na pokuszenie. Raz wiosną, a drugi raz — jesienią, w obu przypadkach z okazji odbywających się w Poznaniu wystawowych gali, zwanych w języku urzędowym Krajowymi Targami.

Ostatnio doszła jeszcze jedna okazja a mianowicie, po raz pierwszy zorganizowane w styczniu br. a zapowiedziane już na początek 1962 r. Wielkie Targi Wzornictwa Przemysłowego. Ile to z powodu owych cieszących oczy ludzi imprez było wrzawy i radosnych nadziei. Kilka tysięcy najnowocześniejszych, najpraktyczniejszych, a jednocześnie najładniejszych wzorów odzieży, obuwni, mebli, artykułów codziennego użytku itp., nie schodziło z łamów prasy centralnej i tzw. terenowej.

I co? I nic. Minęło, skończyły się mowy, reklamy i artykuły. Po starciu w sklepach królują makatki z jeleniami na rykowisku, meble-potworki na wysoki polysk, radia i telewizory w skrzynkach-gigantach.

Dłaczego więc o tym piszemy, skoro wiadomo, że i tym razem nie na wiele się to przyda? Po prostu — ku pamięci tych wszystkich, którzy od lat z najlepszą wiarą i najlepszymi chęciami no, i z niemałymi nakładami kosztów, organizują owe imprezy licząc, że wreszcie ktoś, gdzieś, kiedyś ocknie się i bardziej dobitnymi metodami (niż zachęcanie, pokazywanie, mobilizowanie) zmusi producentów do dobrej produkcji, a handlowców do dobrego handlu.

Stara to bowiem prawda, że same dobre chęci nie wystarczą, że dobrymi chęciami itd. itd.



Fot. Haneman

Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów”

„O”-tu i tam...

Oszczędnością i pracą ludzie się bogacą. Kto chce być bogaty? Każdy. Więc — oszczędzamy. Tu i tam.

delegacje. Jadą tylko wtedy, jeśli się zbierze cztery osoby. W takim wypadku można wziąć samochód, bo na benzynę jeszcze są fundusze...

Pewien znany Instytut, szanowany przez resort, dla którego pracuje, wyczerpał minimalne fundusze, jakie miał na delegacje dla pracowników. A pracownicy muszą jeździć w różne strony Polski do różnych zakładów. Więc — błaga się zakłady, żeby one dały na delegacje panom naukowcom, bo inaczej figa będzie z wdrażania nowych opracowań i technologii.

W tejsze placówce przyjęto nowego pracownika, ale nie było go gdzie posadzić. Musiał zająć miejsce po drugiej stronie już zajętego biurka. Po dwóch dniach zreiterował. I taki mniema, że się nadaje do Instytutu! Charakter trzeba mieć, potem dopiero wiedzę...

Pracownicy innego bardzo poważnego instytutu od dłuższego już czasu przestali uczestniczyć w posiedzeniach Komisji Oceny Projektów Inwestycyjnych. Na KOPI wprawdzie rozstrzyga się, czy budować czy nie inwestycje o milionowych wartościach, ale dla tych, którzy powinni w rozstrzygnięciu uczestniczyć — do tego powołani — zabrakło kilkuset złotych na

Pewne instytucje realizują już zarządzenie, które zabrania I klasy i pociągu pośpiesznego jadącym służbowo na odległość do 100 km. Twórcy zarządzeń wyszli widąc z założenia, że tak blisko d... może wytrzymać II klasę w osobowym pociągu.

W innym wypadku chcąc także oszczędzić na delegacjach, zupełnie słusznie pewien związek zwołał jedno zamiast dwóch plenów. I wszystko pięknie się w czasie zmiesciło. Niektórzy rano wprawdzie „sarkali”, że „delegacji jeszcze nie podpisują, to pewnie potrwa do wieczora”, ale trwało tylko do 17. A oszczędzono ładnych kilkadziesiąt tysięcy złotych.

Nie dziwi nas żadna forma oszczędzania od kiedy pewnego razu zobaczyliśmy kolejkę do uczeszanego szaletu (przy kinie „Młoda Gwardia”) na którego drzwiach było napisane: „remanent”. Skrupulatność i oszczędność „babci” świeci nam przykładem do dziś...

Jesienią. Ano, trudno, „nasz” Francuz wrócił do kraju na pozycję w gumie. A ci spośród kilkudziesięciu posiadaczy łódzkiej „Citroenów”, którzy przeżornie nie zabezpieczyli się w sezonie postawić swe wozy na „kółkach”...

Wyjątkowo piękna tegoroczna jesień przedłużyła sezon samochodowy. Niejeden z posiadaczy popularnych „Petek” spostrzegł, iż na zdartym ogumieniu nie pojeździ na wilgotnej nawierzchni. Cóż jednak prostszego, jak

odwiedzić najbliższy sklep „Motobyt”! Sprzedawca rozkłada ręce: nie ma ogumienia 5,00—15, ale można jeździć na zbliżonym wymiarze... 5,25—16, którym służę uprzejmie...

Historyjki powyższe są zbyt wymowne i nie wymagałyby komentarzy, gdyby nie fakt, iż właśnie w Łodzi, jak na ironię, obok „Motobytu” mają swoją siedzibę: Zjednoczenie Przemysłu Gumowego (producent ogumienia) oraz „Skórimpeks” (dimporter ogumienia). Kogoś tu trzeba obudzić! Tylko kogo?



Fot. A. Kobyliński

Trzy pory roku i trzech braci śpiących

Włosna, jak wiadomo, jest okresem przygotowania samochodów do sezonu wyjazdów. Posiadacze „czterech kółek” dokonują przeglądów swych wchłoków, uzupełniają braki, wymieniają zużyte ogumienie. Włosną tego roku obiegła posiadaczy „Syren” niepokojąca wieść: brakuje ogumienia 5,25—16! Faktycznie, w sklepach „Motobytu”

sprzedawcy rozkładali ręce, oferując jako wymiar „zastępczy” 5,00—16. Wprawdzie nie ten, co trzeba, ale „pasuje” i jeździć można...

Lato — to sezon urlopów, wycieczek turystycznych i modnych ostatnio wojaży zagranicznych. Zdarzyło się więc i pewnemu Francuzowi, iż trafił latem do

Łodzi swoim czarnym „Citroenem”. Pech chciał, iż rozbita butelka od piwa porzucona na ulicy spowodowała wystrzał opony. Cóż jednak prostszego, jak wstąpić do sklepu „Motobytu” i kupić nową (choć to wprawdzie i dewiza i droga na kieszonki turysty). Sprzedawca rozłożył ręce: nie ma tego wymiaru od kilku miesięcy. Będzie ponoc